



zdarzenia

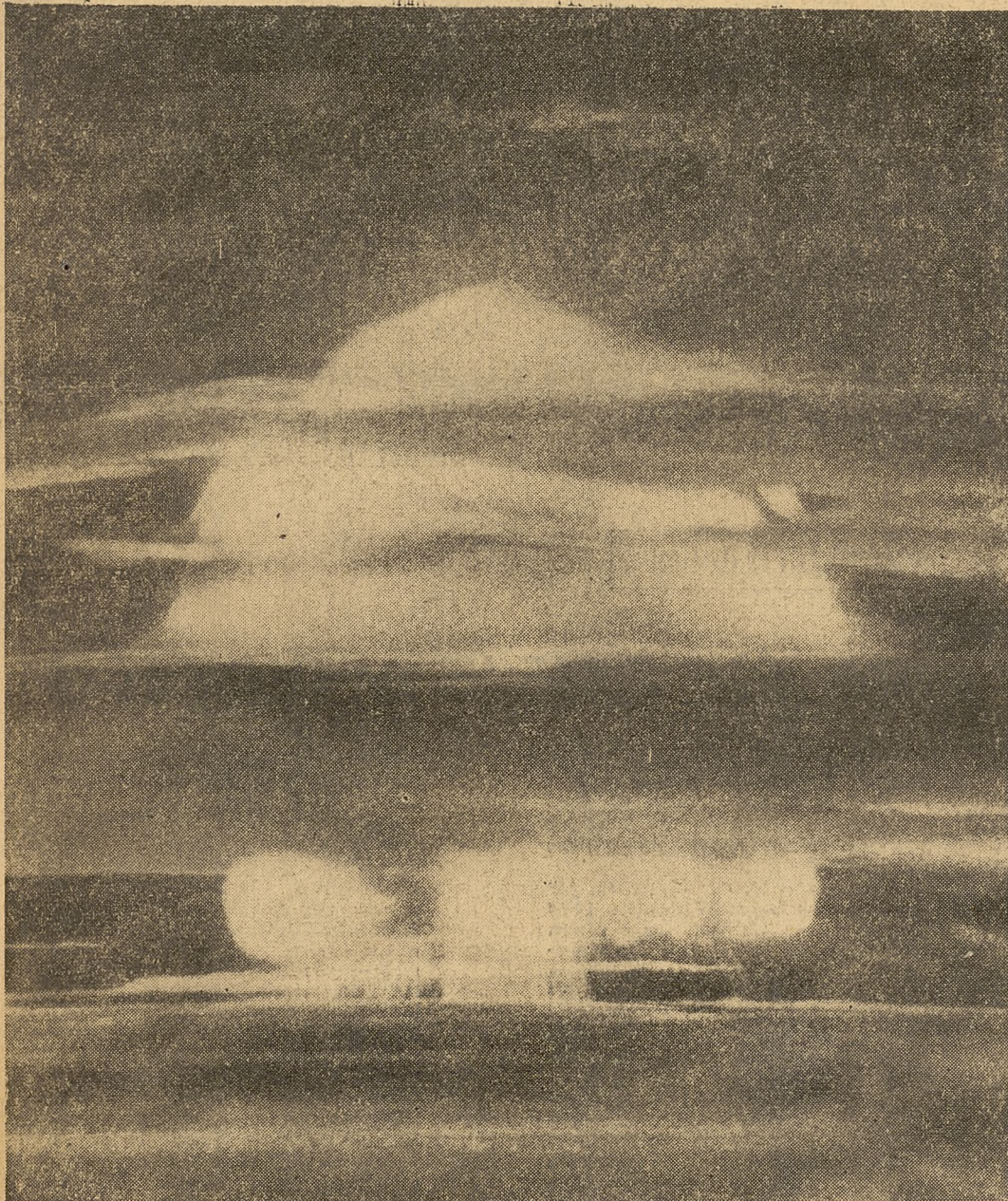
KRAKÓW

19. V. 1957 r.

Nr 2

CENA Zł 1.50

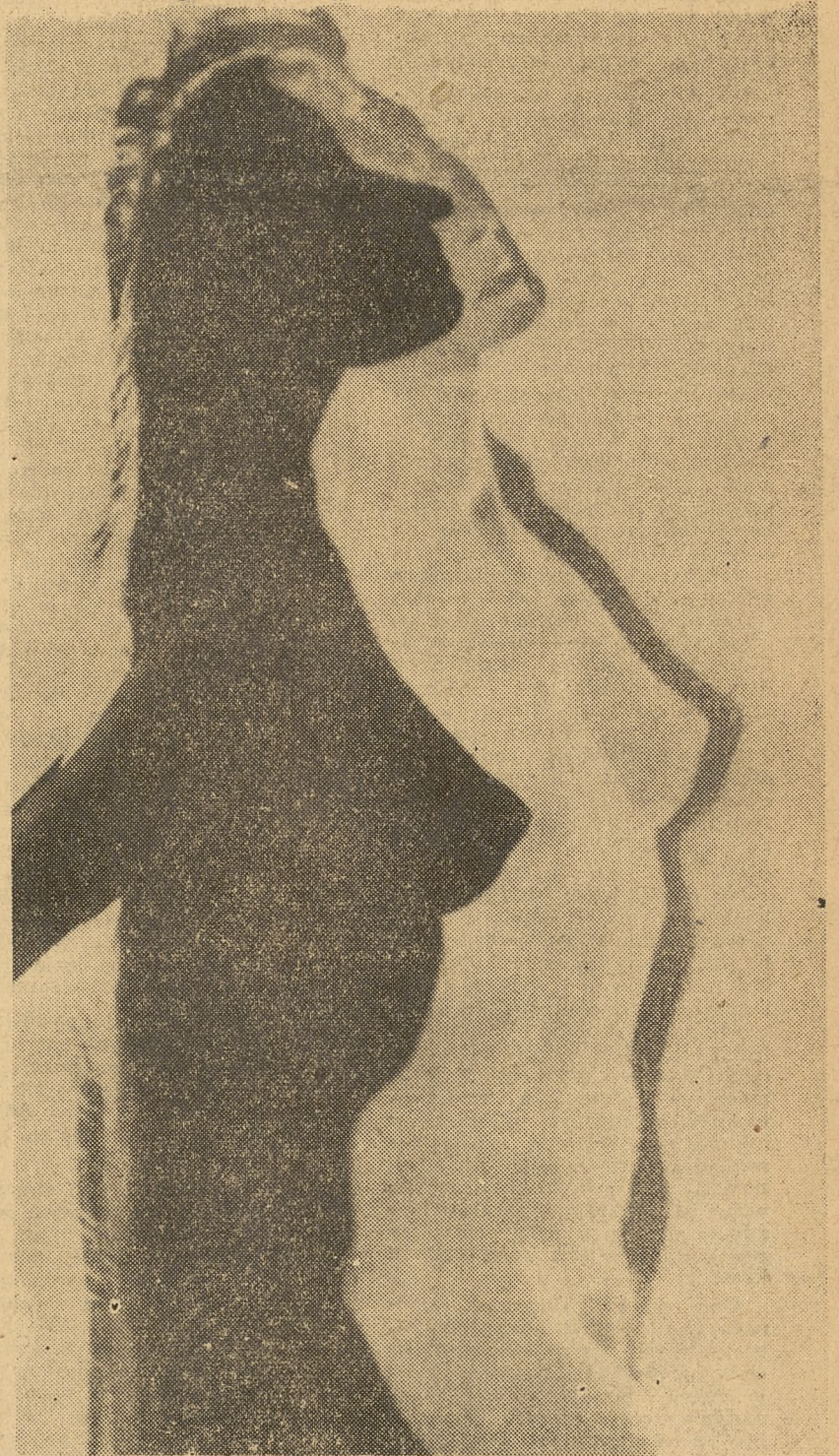
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY



1. Równoległe z próbami atomowymi uczeni prowadzą doświadczenia nad przedłużeniem życia ludzkiego. Na zdjęciu Lindbergh i dr Alexis Carrel, autor głośnej przed wojną książki „Człowiek istota nieznana“, podczas prób ze sztucznym sercem, które pozwoliło przywrócić życie martwemu kurczęciu na stosunkowo długi okres czasu. O badaniach nad przedłużeniem życia i walce z chorobami przeczytacie w najbliższych numerach „Zdarzeń“.

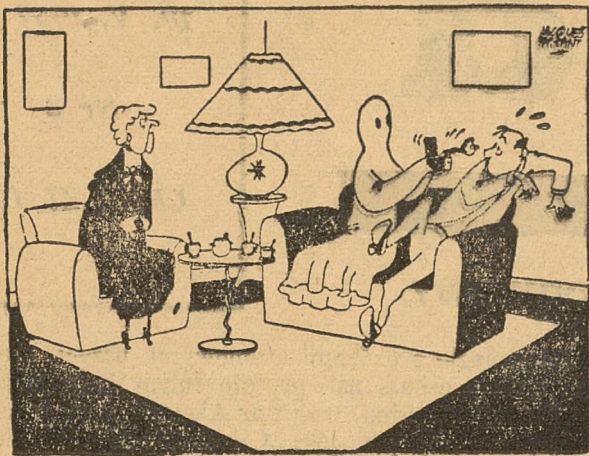
2. Próby z bombami wodorowymi budzą powszechny niepokój. Za kilka czy kilkanaście lat zawartość w atmosferze substancji radioaktywnych może zagrozić życiu każdego z nas. W szeregach walczących o wstrzymanie prób z bombami atomowymi i wodorowymi nie może braknąć ani jednego uczciwego człowieka. Na zdjęciu: wybuch wodorówki na wyspach Marshalla, sfotografowany z samolotu w dwie minuty po eksplozji.

3. Skandalem poprzedniego festiwalu w Cannes było niedopuszczenie do wyświetlania krótkometrażówki Francuza Allaina Resnaisa „Noc i mgła“, jednego z najbardziej wstrząsających filmów dokumentalnych o obozach hitlerowskich. Dlaczego filmu tego nie kupiliśmy dotychczas i nie rozpowszechniamy, a tylko nieliczne kopie demonstrowane są w zamkniętych klubach filmowych? Trudno na to pytanie odpowiedzieć: Na temat tego filmu jeszcze napiszemy. Tymczasem zamieszczamy historyczne zdjęcie z 1933 r. — Hitler tuż przed dojściem do władzy. Wypadki potem potoczyły się szybko: Nacht und Nebel. Wojna. Noc i mgła.

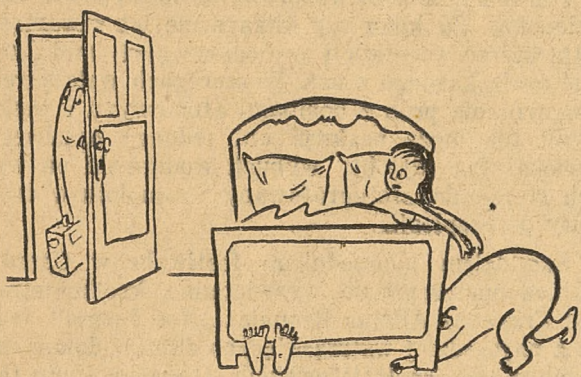


FOTOMONTAŻ ERWIN BLUMENFELD GRAPHIS

Felieton pozagrobowy



Niech pan nie straszy, tylko pije kawę.



Zarazki grypy to jedne istoty w naszym kraju, nie znające trosk mieszkaniowych. Ostatnio wybrały sobie na lokal moją osobę i wprowadziły się (że tak powiem) do mnie ślisa, a to złamanie biologicznej praworządności przykuło mnie na pewien czas do łóżka.

Tak się złożyło, że zabijałem, chorując, czas najroźnieszszą lekturą. Miałem pod ręką trochę literatury współczesnej (Hlasko i Sagan), nieco rozmaitych dokumentów i pamiętników z czasów ostatniej wojny, a to opisy życia w obozach, relacje oskarżonych o niepopelnione winy, z wszelkich tam procesów, książeczki o strategii atomowej i o wodorówkach — jednym słowem to wszystko, co lapidarnie określa się mianem „nowoczesności“.

Lektura ta współdziałała z zarazkami grypy (o których można powiedzieć z najwyższą pewnością, że nie stosują środków antykoncepcyjnych i rozmnażają się bez żadnych ograniczeń) poważnie mi zaszkodziła. Coraz czarniej patrzałem na ludzkość. Bliski byłem wewnętrzznego załamania. Już tylko przekleństwa gościły na mych wargach, a rozpacz w sercu. Naraz dostałem książkę, która odrodziła mnie, wróciła światu, wniosła pogodę w czarny mrok duszy, i pozwoliła upić się optycznym optymizmem. Mówię to bez żadnej przesady. Ta książka była antologia angielskich opowiadań o duchach. Czyli o widmach, strachach, marach, upiorach i strzygach. A także o krwiochłonnych wampirach. CUDOWNA, ROZKOSZNA RZECZ!

Jak powiedziałem, bliski byłem kompletnej utraty wiary w Człowieka i ludzkość. Aż naraz, co za błogość, co za świeżość kryniczna! Nie mam słów dla wyrażenia mej wdzięczności zacnemu Anglikom. Odrodzili mnie. Zrobili wszystko, aby było JAK NAJPOTWORNIEJ. A więc czarny dom, w którym straszy. Kurz, paieczyny, ciemno choć oko wykol, bezszelestnie rozsiewa się ściepa i w ciemności, przy ohydnych skompaniamentach grobowej woni... Albo taki numer; trup z XVI wieku, zachowany jak wezoraższ. Wylazi z mogiły w płaszczu z mgieł i pędzi na poszukiwanie ofiary, sycząc „krwi! krwi!“.

Albo reka czcigodnego starca, opiewana przez demona. Ręka ta, odcięta kiedyś starca na dobre pochowano, prowadzi szatański żywot w cichym prowincjonalnym domu, szczyplie służąc, strasząc, tumani, i lęka! Albo niewidzialny facet, który „człap! człap!“, maszeruje nocą za dzielnym marynarzem. Albo ta niedobra żona, która, szepcząc piśszelami, przylazła po śmierci do domu i straszyła.

Jakież to wszystko miłe! Jakież

zabawne! Jakie urocze! Tylko — przestraszyć? Nie, coż znowu! Któż przestraszy nas dzisiaj najstarszym nieboszczykiem, podpierającym się własną miednicą, kłapiącym zębami jak traktor, dzisiaj, w epoce pamiętnych pieców, wodorówek i przeżyć, związanych z tymi nowościami XX wieku? Dość wyobrazić sobie, że ktoś da takie ogłoszenie do gazety: „Opętany i nawiedzony duchami dom jednorodzinny (5 min. od tramwaju), z ogrodem owocowym, w którym żerują wilkołaki, odstąpię bezpłatnie“. Wyobrażacie sobie, co by się tam działo? Milicję trzeba by wzywać, żeby obroniła właściciela, nie przed duchami, naturalnie, ale przed najzupełniej żywymi ludźmi, gotowymi na wszystko, aby powiększyć swą przestrzeń życiową. Duchy to dobra rzecz, ale nie dla nas. Najpierw, straszyć nie można byle gdzie. Lokal Samopomocy Chłopskiej, Punkt Zbiorowego Żywienia albo Spółdzielnia Usługowa Fryzjerów, nawet dobrze po północy, to nie jest miejsce dla szanującego się pozagrobowego widma. W prywatnym mieszkaniu zjawia też nie ma co szukać: ciasno, jak cholera. Jeden lokator siedzi drugiemu na karku — jak się tu wcisnąć, nie, mówiąc nawet o straszaniu? Na cmentarz w nocy też nikt nie pójdzie nie żeby się duchów bał, ale zanim dojdzie, chuliganie rozbiora i nabiją. Jedne stare zamki — ostatni przybytek — rozleciały się w ramach nacjonalizacji, inne pozajmowały organizacje masowe. Wszystko masowe, wszędzie tłumy — a upiór musi działać w cztery oczy, sam na sam, żeby zrobić jakieś takie wrażenie. To raz. A po wtóre, duch musi mieć ucieczną szansę. Wszyscy potwornie się gdzieś spieszą, a to do ogonka, a to po zaświadczenie, kto ma czas na jakieś pozagrobowe tête-a tête? Szkoda marzyć.

Tak, trzeba to powiedzieć wyraźnie: na duchy nie ma już dziś miejsca w naszym życiu. Pocziwie to bractwo, zacne ale bez szansy. Inna rzecz, że czytając Anglików, zrozumiałem, jak bardzo taka lektura pokrzepia.

Miłe maski strzygi, towarzyszące mi w grypowym osamotnieniu, oczyściły moje myśli, pokrzepiły pełen wątpliwości umysł, uwolniły od smutków i trosk, przenosząc w feeryczny, jakże ślankowy świat zwolna otwierających się grobowców, w przepiękną krajinę pukających z cicha do drzwi szkieletów, utwierdzając w mym sercu jakże niezbędna wiarę w zwycięstwo sprawiedliwości nad występkiem: bo one pokutują na miejscu zbrodni, te duchy. Tak, tak, fair play jest ściśle przestrzegane, kto męczył lub mordował, musowo potem straszy i kłapie, gdzie trzeba. Tego kojącego przeżycia długo nie zapomnę. Żebyż

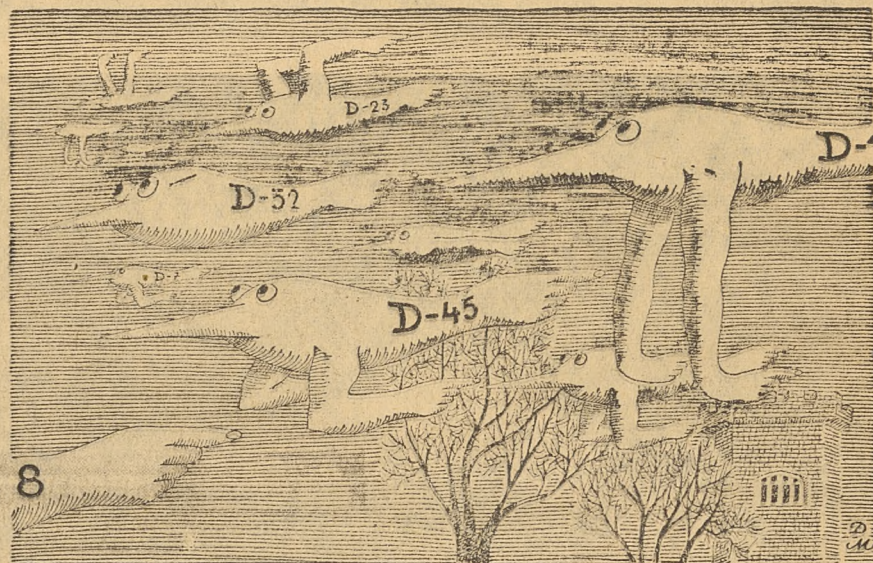
sie jakieś wydawnictwo wzięło do tego, przełożyło, upowszechniło w ramach reeuropizacji! Ze to idealizm? No, niby tak, ale jaki z niego pożytek! Ze duchów nie ma? No to co? A dobrzebył jest? A przecież iatami się o nim pisało ze wszystkimi szczegółami. Niejednemu w duchy łatwiej dziś uwierzyć. Była mowa o eksperymentach, dlaczego więc nie podjąć się takiego? Tylko wydawnictwa są szalenie zawałone robotą. Więc może jakieś nowe pismo? Np. „Trupi Głos“, albo „Nowy Strzyg“. A dla dzieci — „Widemko“. Najpierw zaczęłoby się od przekładów, a z czasem rozwinęłoby się, na bazie Związku Literatów, własna kadra specjalistów od konstruktywnego straszenia. Odpowiednio ustawiony, po krótkim przeszkoleniu, upiór może nam w niejednym dopomóc. Np. już widzę rozplamionym okiem wyobraźni artykuł „Duchy włączają się w akcję likwidacji mank“. Roboty byłaby masa. Jeżeli zaś osobne, specjalne pismo to za wiele (choćby teraz zakłada się je dla rozwiązania spraw nawet mniejszej wagi), to na początek dobry byłby choćby tylko mały kącik pozagrobowy w jakimś organie już istniejącym. Trudności obiektywne są, tego dzisiaj już nikt nie przemilcza, ale jakbyśmy się wzięli do roboty, to rezultaty nie dałyby na siebie czekać. Rzucam tedy hasło: ożywić te trupy! Zmobilizować upiory i strzygi, te wszystkie grobowce i wilkołaki. Śmiechu, radości, zajęcia będzie masa!

Mam jednak wątpliwości. Książkę skończyłem, i grupa jakoś przeszła, mógłbym już sam zająć się tą ważną sprawą, ale, jak powiedziałem, nie

jestem pewien swego. Może to jednak nadmierny luksus, te mury? Może nie powinniśmy sobie na nie pozwalać, w takich trudnych czasach? Niechaj więc na razie wystarczą nam tylko powieści kryminalne. I to jest już coś. Przeczytałem ostatnio wszystkie nowości „kryminalne“. Wydaje je „Czytelnik“, wydała „Iskry“, wydała i „Mon“. Są zagraniczne, ze znakomitą Agatą na czele, są i krajowe (K. T. Wand, A. Kłodzińska i J. Radziński).

Przeczytałem sobie te książki i zadziwiłem się. Ale to do ostatniego ośmupienia. Zagraniczne — nieźle, Agata nieźle. Wiadomo, J. E. Gill, taka autorka amerykańska, kiepska. Powieść jej „Wymarły dom“ to dur-na piła. Dewizy za tłumaczenie w błoto wyrzucone, ale to nie dziwne; taka już tradycja, że wyrażamy dewizy w błoto. Widać to są pozostałości z czasów jeszcze ultramagicko-szlacheckich, kiedy wielmożę ciskał dewizami w zagranicznych „badach“. Ale to osobna sprawa, a ja teraz o kryminalnych książkach produkcji rodzimej. Otóż, czy dacie wiarę: w tych książkach „straszy! Jak Boga kocham! Wygnany wszystkimi drzwiami lakier i lukier, bohaterowie pozytywni, męscy oficerowie bezpieki o manierach angielskich dzentelmentów ze Scotland Yardu, wywaleni z literatury zjazdami i artykułami popaździernikowymi pokutują w „kryminalach“. A więc jednak — duchy! Tylko, że wedle stawu grobla. Każdego strasza takie duchy, na jakie go stać. A u nas — w nas straszy socrealizm!

STANISŁAW LEM



ANDRZEJ KLOMINEK

CO SIĘ DZIEJE W CHINACH

Bertrand Russell w swych „Szkicach sceptycznych“, wznovionych niedawno po polsku, powiada, że z wyjątkiem Chin nie ma kraju, w którym ludzie tolerowaliby prawdę o sobie.

Mniejsza o to, czy Chiny są, czy nie są wyjątkiem. W każdym razie to, co się w Chinach teraz dzieje, świadczy, że ludzie tam nie zawahali się spojrzeć w oczy przykrym prawdom. I to nie tzw. „zwykli ludzie“, ale ci, którym od początku świata, z naturalnych przyczyn, najtrudniej przyjmować prawdę o sobie: przywódcy.

Kiedy parę tygodni temu przeczytałem w „Trybunie Ludu“ przedrukowany z chińskiego centralnego organu „Zenninzipao“ artykuł o sprzecznościach w społeczeństwie, pomyślałem sobie, co to by było, gdyby ktoś u nas chciał wydrukować taki artykuł no — powiedzmy — dwa lata temu. Weźmy np. stwierdzenie, że wewnętrzne sprzeczności w społeczeństwie socjalistycznym „znajdują często skondensowany wyraz w sprzecznościach między masami ludowymi a przywódcami...“ Albo hasło, by w celu przezwyciężenia tych sprzeczności „wzmocnić kontrolę mas nad przywódcami“. Aż strach pomyśleć — zwłaszcza że Chińczycy naprawdę to robią.

Nie mówię już o takiej zgrozie, jak zdanie, że należy pozwoić kwitnąć wszystkim kwiatom, a nawet chwastom, gdyż o tym, który jest słuszny, a który niesłuszny, rozstrzygać winno starcie się ujawnionych poglądów. Mój Bóg! Ileż to ludzi z największą przyjemnością zakwalifikowałoby właśnie to zdanie do rzędu trujących, godnych najsurowszego potępienia chwastów — gdyby

ową straszną „liberalistyczną“ heretęzję ogłosił ktoś inny niż Komunistyczna Partia Chin.

A może by się tak z pięć minutek zastanowić jak się to stało, że Komunistyczna Partia Chin przyjęła tę właśnie linię? I to przyjął mimo, że pokusy, aby działać wedle zgoda innych schematów, były tam na pewno niemięjsze niż gdzie indziej. Zresztą — jeszcze nie tak dawno działano i tam wedle starych schematów: upływa zaledwie rok, odkąd polityka „stu kwiatów“ została proklamowana w Chinach.

Całą sprawę bodaj najlepiej wyjaśnia słynny już dialog Czu En-lai z członkami delegacji radzieckiej, dialog nie przypadkowo chyba zanotowany i wydrukowany w „Zenninzipao“. Czytaliście go zapewne, ale naprawdę warto ten dialog raz jeszcze przeczytać. I przemyśleć.

Czu En-lai: Mury Pekinu są wysokie i mogłyby odgrodzić przywódców od mas.

Raszdów: Wysokie mury mają zaletę i zaletę. Mogą zahamować rozprzestrzenianie się biurokracji.

Czu En-lai: Wysokie mury mogą mieć jeszcze inną zaletę. Mianowicie potrafią udzielić schronienia, kiedy masy powstają przeciwko biurokracji. Ale jest to schronienie niepewne.

W tym miejscu Czu En-lai wskazuje kwiaty i dodaje: Jeżeli nie uporamy się z naszą biurokacją, to te dzieci obala w przyszłości mury miejskie.

Nie ulega wątpliwości, że u źródeł obecnej polityki Komunistycznej Partii Chin leży troska, aby nie dopuścić do sytuacji, w której sprzeczności między masami a przywódcami — w pewnym stopniu bodaj nieuniknione, ale nieantagonistyczne i dające się przezwyciężyć — doprowadzą

(Dokończenie ze str. 2)

dda do szturmu mas na mury biu-
kratycznej twierdzy. Oglądaliśmy
już takie tragiczne szturmy...

W tym miejscu nie od rzeczy bę-
dzie zacytować ustęp z przemówienia
członka Biura Politycznego, Jerzego
Morawskiego na niedawnej konfe-
rencji wojewódzkiej w Krakowie.

„Wedle powiedzenia Mao Tse-tun-
ga każda bez wyjątku rzecz ma
swoje dodatnie i ujemne strony. Wy-
padki poznańskie — mówił Mao Tse-
tung w rozmowie z tow. Ochabem
w czasie VIII Zjazdu Komunistycz-
nej Partii Chin, miały swoją ujem-
ną stronę: zachwianie władzy ludo-
wej, rozlew krwi. Ale miały rów-
nież swą dodatnią stronę i to nie
tylko dla Polaków: były one ostrze-
żeniem, że coś się popsulo w stosun-
kach między klasą robotniczą, partią,
a były nauczka nie tylko dla was...”

Nie wiem, czy — jak twierdzi Ber-
trand Russell — Chińczycy są aku-
rat jedynym krajem tolerującym
prawdę o sobie. Ale jest faktem, że
nie wahali się wyciągnąć konse-
kwencji z nauk, jakich dostarczyły
tragiczne wydarzenia w niektórych

krajach i nie czekali, aż u nich do-
jdzie do sytuacji, w której wyrosną
mury oddzielające masy ludowe od
przywódców! Obrali metodę nie u-
macniania i uzbrajania murów, lecz
ich znoszenia i wyciągnęli przede
wszystkim zdaje się naukę najważ-
niejszą:

Ze do rozdziału między przywó-
dami a masami dochodzi nieuchro-
nnie tam, gdzie istnieją faktycznie w
społeczeństwie różnice zdań i sprze-
czne tendencje są tłumaczone, a nie
przezwyciężone w otwartym starciu
poglądów, gdzie mianuje się wro-
giem tego, kto ma poglądy inne niż
„nieomylny” autorytet, gdzie nie
daie się ludziom swobody wyrażania
tego co myślą.

Dlatego przywódcy chińscy pro-
klamowali śmiało politykę „stu
kwiatów”. Dlatego zdecydowanie i
wyraźnie uznali sekciarstwo za głów-
ne niebezpieczeństwo. Dlatego pod-
jęli zdecydowaną walkę z biurokra-
tyzmem, za jedno z jej narzędzi u-
znając „długotrwałe współistnienie
i wzajemną kontrolę partii komuni-
stycznej i innych partii demokraty-
cznych”.

Chińscy przywódcy to bardzo ma-
drzy ludzie. Potrafili przykrym
prawdom i niebezpieczeństwom spoj-
rzeć w oczy i — jak się to mówi —
„użyć się na błędach”. Własnych
i cudzych.

A nadmienić warto, że termin
„przywódcy”, jak to jasno z oświad-
czeń chińskich wynika odnosi
się nie tylko do przywódców z wyso-
kiego szczebla: tych, którzy obecnie
w ramach kampanii „polepszania sty-
lu pracy partyjnej” idą pracować
do fabryk, lub dostają zdrowe cią-
gi za dygnitarstwo, jak ów wicemi-
nister, co to na wystawie rolniczej
w Pekinie obraził dziennikarza. Ter-
min „przywódcy” odnosi się przede
wszystkim do tych tysięcy partyj-
nych i państwowych funkcjonariu-
szy, którzy dla milionów zwykłych
ludzi oznaczają władzę. W Chinach
i gdzie indziej.

I nie tylko w Pekinie pełną aktu-
alność mają takie oto instrukcje
centralnego organu Komunistycznej
Partii Chin:

„Aby rozwiązać sprzeczności mię-
dzy masami ludowymi a przywódcą-
mi należy przede wszystkim z całą

powagą i surowością wykorzystać biu-
rokratyczne przejawy w pracy kie-
rowniczych działaczy...”

Należy energicznie rozszerzać ży-
cie demokratyczne, uzdrawiać róż-
ne formy demokratyczne, rozwijać
styl daleko posuniętej demokracji...

Należy wytworzyć taką atmosferę,
by masy mogły prawdziwie, swo-
bodnie wypowiadać swe zdanie i ta-
ką sytuację by rzeczywiście chcieli
to robić...

Bez względu na to, czy poglądy
mas są słuszne i wykonalne, przy-
wódcy powinni je studiować i udzie-
lać odpowiedzi...

Jeżeli się uznaje swe błędy przed
masami w rzeczowy sposób, nie pro-
wadzi to bynajmniej do utraty auto-
rytetu. Ten zaś, kto broni swego
„autorytetu” za pomocą oszustwa i
presji, musi liczyć się z tym, że jeśli
nawet będzie się to przez pewien
czas udawało, to w każdym razie
ostatecznie zbankrutuje on przed
masami...

Jak wynika z korespondencji,
Chińczycy naprawdę stosują się do
tych zaleceń.

ANDRZEJ KLOMINEK

St Germain des Pres

DZIEL-

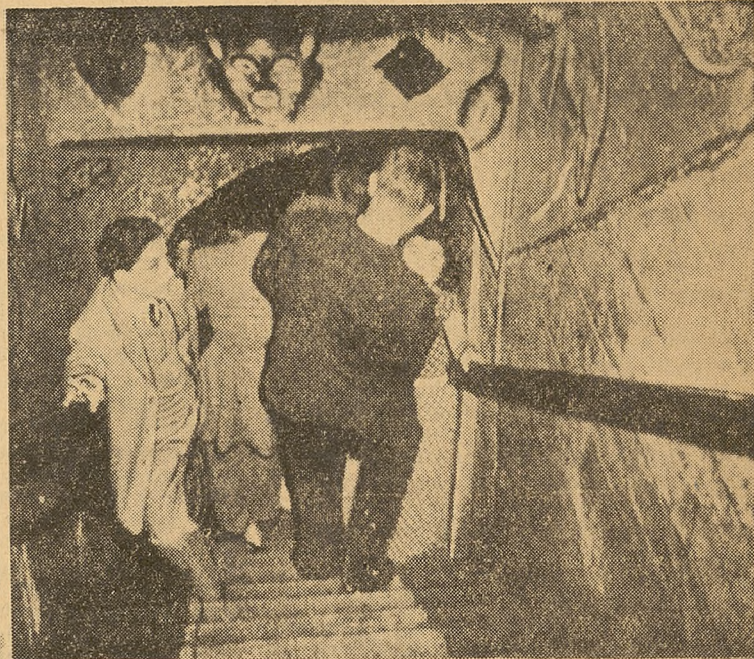
NICA

EGZY-

STENCJA-

LISTÓW

SAINT-GERMAIN-DES-PRES... TO NIE
TYLKO NAJSTARSZY KOŚCIÓŁ PARY-
ŻA I MIEJSCE NA PLANIE MIASTA.
TO RÓWNIEŻ LEGENDA, KTÓRA DŁU-
GO NARASTAŁA PRZY WSPÓŁUDZIA-
LE NAJWIEKSZYCH FRANCUSKICH
PISARZY, POETÓW, MALARZY, ARTY-
STÓW, FILOZOFÓW. ZAMIESZCZONE
(OBOK) ZDJĘCIA ILUSTRUJĄ FRAG-
MENT — DZIŚ JUŻ — HISTORII PA-
RYŻA:



Północ. Tańczące „szczury piw-
niczne”.

Modelki i pianiści...

Oto „zejście do piekieł”, czyli
schody prowadzące do słynnej
piwnicy „Tabou”.

Kobiety „Tabou”: pieśniarka
Juliette Greco, Anne-Marie Ca-
zalis, poetka Ferdinand.

Nad ranem.

JASZCZUR I LILIANNE

OPOWIADANIE

Akcja rozgrywa się jesienią 1942 r. w Mezopotamii. Antoni Cwojka, kierowca samochodowy z kompanii saperskiej, nudząc się któregoś niedzielnego popołudnia wyjechał w pustynię i tam schwycił pięknego, zielonego jaszczura. Chowa go sobie jak pieska w namiocie, czemu się jaszczur bez sprzeciwu poddaje.

II.

Życie obozowe upływało niesłychanie monotennie. Cwojka należał do kompanii saperskiej I. batalionu Dywizji Kresowej z godłem „Zubr” w II. Korpusie generała Andersa. „Zubr” w zielonym polu, pięknie wyhaftowany powiewał na ich śladzie i przyglądał się pustynnym szakalom.

Położenie mieli nieszczęśliwe. Do Bagdadu sto pięćdziesiąt kilometrów, do Mossulu niewiele mniej — drogą wytyczoną w piaskach, którą trzeba było codziennie polewać ropą z beczkowozów, żeby się nie zgubiła. Bezkowozowy nadjeżdżały z rana od strony rafinerii położonej na przedpolu miasta Kirkuk, znikwały na linii Mossulu, gdzieś dalej rozjeżdżały się na rozwidleniu Mossul — Bagdad i powracały około czwartej.

W rafinerii połączonej krótkim rurociągiem z polami naftowymi siedzieli opasani murami Angliści i nikt tam z obrońców tego obiektu nie miał potrzeby ani prawa zaglądać.

Najbliżej stacjonowaną jednostką wojskową była kompania tzw. ewakuacyjna — szpitalna, złożona z dwustu Gurkhów i jednego angielskiego porucznika. George Bradley nazywał się ten porucznik i niekiedy zaszczycał kaprała Antoniego Cwojkę grą w szachy.

Do obowiązków kompanii saperskiej należało utrzymywanie w stanie gotowości bojowej całego dywizyjnego sprzętu technicznego, naprawa i wymiana części samochodowych, opieka nad aparaturą tzw. kratownic Bailey'owskich, służących do budowy mostów, oraz drobniejsze usługi w ramach specjalności. Zjeżdżało to rozklekotane żelaztwo z wszystkich stron i kiedy przyszła zła seria, Antoni jako mechanik musiał porządnie sobą natryać. Na boku placu kompanijnego kazał sobie wykopać kanał, umocnił go żelaznymi drągami i blachą przed zasypaniem, i dobrą część dnia kiblował zaglądając w podwozia. Duszno było tam piekielnie mimo dachu z falistej blachy i baldachimu z brezentów. Na placu stała też większość parku samochodowego pod plandekami chroniącymi wozy, a zwłaszcza ich ogumienie przed niszczeniem działaniami słońca.

Niekiedy zdarzał się wyjazd służbowy do któregoś z trzech miast, ale rzadko, i do tej funkcji zgłaszał się stale ze skwapliwym pospiechem plutonowy Michał Bańka, który przeprowadzał w Mossulu jakieś transakcje walutowe i miał tam „narzeczoną”. Wszyscy pytali go jakiej ona jest „maści”, bo rasy w tym mieście były okrutnie pomieszane, ale Bańka wykręcał się od odpowiedzi, jakby sam nie przeprowadził jeszcze dostatecznych studiów etnologicznych dla ustalenia tej kwestii. Mówili mu też: — Uważaj, lepsza jest Berka — street, stamtąd przynajmniej dostajesz certyfikat zdrowia. — (Przy Berka — street w Bagdadzie stał sześciopiętrowy dom publiczny z kilkuset pensjonariuszkami do wyboru i do koloru). Bańka odpowiadał: — Niech was głowa oto nie boli.

— A co ty robisz z pieniędzmi z giełdy?
— Właśnie wydaję na dziewczynę.
Było to więc koło interesów zamknięte i nie należało w imię dobrego koleżeństwa wtykać kija między jego sprzchy.

Resztę wolnego dnia po rozlicznych zajęciach i szkoleniu kompania spędzała nad brzegiem rzeki. Boże, pożałuj, co to była za rzeka, w porze letniej prawie całkowicie wyschnięta i nosząca angielsko-arabską nazwę „The little Zabr”. Nie wiadomo dlaczego little, gdy w pobliżu nie było żadnego „Big Zabr”, ale mniejsza o to. W każdym razie można tam było znaleźć trochę cienia od krzaków nie całkiem na pieprz wyschniętych i kiedy ktoś siadał na pół godziny w basenie leńwiej wody, odczuwał po wyjściu z niej przez kwadrans odrobinę krępującego chłodu. Nad rzeką prało się bieliznę, czytało gazety, grało w karty, był to w ogóle salon towarzyski pustyni, do którego przychodził także porucznik Bradley wymoczyć uznojone ciało i położyć się z furażerką na nosie — in the shrubs — w krzakach.

W obozie poza dobrymi obyczajami w stosunkach służbowych nie było właściwie za nadto familiarnie. I tam, podobnie jak w całej rozsypanej dywizji, wytworzyły się trzy kręgi koleżeństwa. Razem trzymali się oficerowie zawodowi, wyżsi stopniem, razem — oficerowie rezerwy, porucznicy i podporucznicy, i razem — reszta od chorążego bez cenzusu w dół. Cwojka ze swoją średnią szkołą techniczną mógłby się pokusić o szarżę oficerską, ale nie chciał. Całkowicie zadawała go obecne położenie, w którym rządził maszynami; wołał to od komenderowania ludźmi. Jego uczucie leciutkiego uprzedzenia do stanu oficerskiego, wyniesione jeszcze z obozu jenieckiego w Tatiszczewie pod Saratowem wywodziło się z mikry chowania głowy w momentach burz dziejowych — było sobą zbyt dużo miejsca nie zajmować. Nie dawało się ono jednak porównać z animozją noszoną w sercu przez takiego na przykład Bolesława Mańkowskiego. Mańkowski, wzorowy żołnierz, pilny, obowiązkowy i zdolny, męczący na dużej sile fizycznej i wesołym usposobieniu, dość regularnie co trzy miesiące urządził w obozie po pijanemu okropną burdę, która zawsze kończyła się pobiciem któregoś oficera. Dlaczego — nie sposób dociec. Było to nawet niesprawiedliwe, gdyż oficerowie niezmienne go lubili i cenili, i po uśmierzeniu każdej takiej awantury, kończącej się sądem i degradacją przestępcy, pomagali mu do szybkiego odzyskiwania belek podoficerskich. Cóż z tego — była to sztyfowa praca. Raz właśnie na swoją prywatną święto otrzymania stopnia kaprała, tego samego wieczoru wyprawiał libację w podporządkowanej kompanii i zakończył ją dzieleniem najsympatyczniejszego z oficerów porucznika Chlejskiego. Gdy tylko miał w czubie, choćby lekko, i wiedział o tym, zapytany co by teraz zrobił, gdyby mu się któryś nawinał, odpowiadał z rozbijającym uśmiechem: — No trudno, jak nie chcę, musowo powinien by oberwać.

Otóż Cwojka nie miał tak dalece idących uprzedzeń, ale może nie chciał się w przyszłości narazić Bolesławowi Mańkowskiemu, który miałby go już na oku, i od podręcznika taktyki liniowej wołał studiować „Poradnik elektryka”; z pożytkiem dla wszystkich, zawsze coś tam bowiem wykombinował. Ostatnim jego wynalazkiem był bardzo prosty agregat złożony z nowych akumulatorów, które — jak wiadomo — ładuje się raz i rozładowuje przed ostatecznym przygotowaniem i osadzeniem na stałe w samochodzie. Prądem z rozładowujących się akumulatorów Cwojka oświetlił wszystkie namioty w obozie. Otrzymał za to pochwałę w rozkazie dziennym.

Ostatnio miał też wiele pociechy ze schwytanego jaszczura, który chował mu się dobrze i zdrowo.

Po tygodniu prób z jedzeniem wpadł na to przypadkowo, co bestii smakuje najlepiej. Pewnego razu resztki z obiadu z mięsem prześmierdłym trochę od kości wrzucił ze złością do miski przeznaczonej dla jaszczura i zalał mlekiem. — W sam raz dla świni — powiedział, powołując oczyma na świadka Józka Sterna, który tak samo kręcił nosem nad swoim baranym kotłem. Jaszczur chybnął się przodem na swoim karłowatych łapach w stronę żarcia i zaczął je łapczywie chleptać i polykać. Kwestię mieli już więc rozwiązana, zwłaszcza że o śmierdzące mięso nie było trudno, wystarczyło nawet najświeższe potrzymać tylko parę godzin na słońcu.

Legowisko miał wysłane starymi szmatami w skrzyni po amunicji głęboko w kacie, w ocienionym miejscu; nieporządku żadnego po sobie nie zostawiał, wychodził rano na łazgę dokoła namiotu i prawdopodobnie trochę sobie dorabiał, powracał w południe, kiedy całe powietrze nad obozem czuć było kuchnią. Dać mu dwa albo trzy razy dziennie zjeść — to wszystko, więcej nie trzeba się było nim interesować, a nawet zbyt wielkiego wścibstwa nie lubił. Doświadczył tego jeden z mniej mu znanych żołnierzy, który przechodząc życiowie się nim zainteresował i chciał wypróbować, czy zwierzę na łeb twardy nad pomarszczonymi trochę oczodolami. Ledwie dotknął palcem tego miejsca, a już go jaszczur sieknął do krwi ogonem szybkim jak piorun. Cały grzbiet po paszczę miał w zasięgu tej broni defesywnej. Z jej ruchów można też było wnioskować w jakim jest usposobieniu; jeżeli w przyjaznym, ogonem zamykał na boki jak pies, tylko znacznie powolniej, jeżeli w wojowniczym, ogonem drgał drobnymi skokami do góry i wówczas lepiej było w ogóle się nim nie zajmować.

Ze jaszczur istotnie, gdy chodzi o wyżywienie, dorabiał sobie na boku, przekonali się obydwaj z Józkiem pewnego wieczoru przed

trząsać cały namiot. Trwało to z pół godziny, ale żadnego skorpiona więcej nie znaleźli. Jaszczur tymczasem ułożył się na powrót w swoim legowisku i Józek Stern po długiej chwili odprężenia spojrzał po raz pierwszy naprawdę przyjaźnie na mającą zieloną smugę grzbietu, zwiniętego w ogromny rogalik.

— A to pieron — powiedział.
Cwojka uśmiechnął się z pewną satysfakcją.

— A co, nie będziesz już więcej pytał: gdzie on jest? Żeby ci broń Boże tyłka nie podgryzł.

— Nie będę. Fajny jest. Kto by przypuszczał?

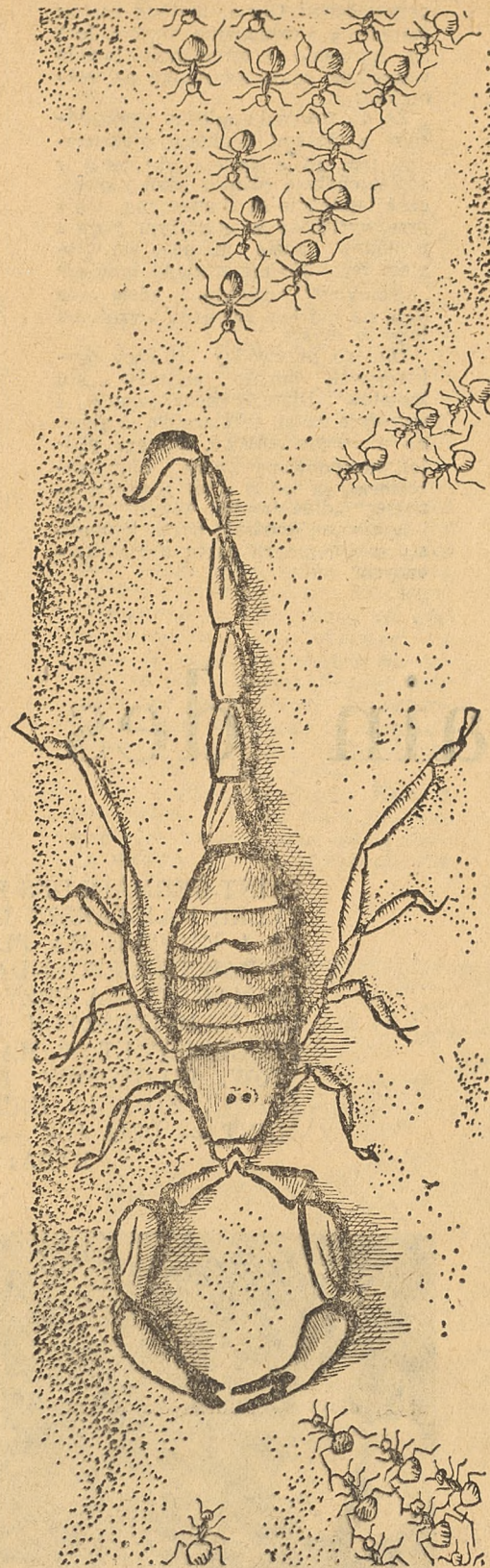
Wypadek w namiocie Cwojki i Sterna stał się sygnałem alarmującym dla całego obozu. Równocześnie z pewnym ochłodzeniem i pierwszymi przelotnymi deszczami, bodaj że w początku grudnia, zaczęły się pojawiać w pobliżu namiotów, a co gorzej — pod brezentem, skorpiony. Zdarzyły się już dwa ukąszenia, które jedynie dzięki bliskości stacji sanitarnej Bradley'a i zapobiegawczemu serum — zakończyły się bolesną opuchlizną i na tym koniec. Cały oboz postawiono na nogi. Zaczęły się polowania i nie było dla tych jadownych raczków śmierci dość wymyślnej jeżeli komuś udało się taką sztukę chwycić w obcęg, szczypce, lub przez grubą szmatę. Smazyli je na ogniu, siekli po kawałeczku, a potem zaczęli przeprowadzać z nimi naukowe doświadczenia.

Przed wszystkim nauczyli się je wykrywać. Dwa blisko siebie czerniejące lejki w piasku — to znak, że w środku jest, albo był skorpion. Wykopywali je łopatkami saperskimi i przypatrując im się długo przed śmiercionośnym namysłem, nauczyli się je rozróżniać i segregować. Było tego światła trzy odmiany: egzemplarze większe, różowe i zielonkawe, właściwie najmniej groźne, miały jad w kolcu tylko z wiosną w okresie tarła, i zdaje się — wyłącznie samiczki, tak przynajmniej utrzymywali miejscowi Kurdowie. Najgorsza była odmiana małego raczka wielkości pół palca, którego nazwę przetłumaczyli sobie z arabskiego narzecza: czarna wdowa. Czarna wdowa — szatanek dla ludzi skazanych na sypanie prawie na ziemi — cały okragły rok.

Z czarną wdową przeprowadzali najwymyślniejsze doświadczenia, będące równocześnie rodzajem widowiska. Pobliże obozu obfitowało także w kopce dużych czerwonych mrówek, pekatych jak porzezki. Ze skorpionem robiło się tak: na mrówczym szlaku zakreślało się kółko i wykopywało głęboki wrąg na kształt fosy, przez którą trudno się było wygramolić skorpionowi umieszczonemu na środku piaskowej wysepki. Po kilku chłopak kładło się wieniec dokoła tego miejsca na brzuchu i patrzyło, co dalej wyniknie. Mrówki natrafiwszy w swej drodze na nieprzyjaciela, w szybkim rekonesansie ścigały posilki z mrówiska i bicz porzezkowych owadów grubiał na całym szlaku, a na wysepce urastał w maczugę. Rozpocznął się obustronny atak. Skorpion miazdżył mrówki dziesiątkami i setkami w swoich szczypcach i okręcając się jak czołg dokoła osi w zamkniętym kręgu piechoty. Fałszywie ataku przybierały na sile, to znowu słabły, aż w pewnym momencie jakby pleciny koszyk czerwieni przykrywał całkowicie miejsce, gdzie broń się skorpion i przez długą chwilę nie było widać. Potem mrówki zaczynały się rozłazić, pozostawiając po sobie kilka niedogryzionych skorupki. Powtarzało się to za każdym razem niezmiennie tak samo.

Żołnierze nie mówili nic, palili papierosy. Potem obracali się na plecy i patrzyli w niebo. Cholerny świat, jak daleko do domu!

(Ciąg dalszy nastąpi).



DANIEL MRÓZ

snem. Czytali jeszcze do poduszki, delektując się, jasnym oświetleniem z agregatu po niedawnych łojówkach, gdy coś szastnęło się w kacie. Spłoszył ich ten hałas, gdyż ich lokator powinien był spać od dawna. Antoni spojrzał tam i struchlał. W paszczy chrząstnął skorpion i zniknął całkowicie w drugim podrzucie. Zerwali się na równe nogi i poczęli prze-



RYSUNEK EWA JURKIEWICZ

W całej plejadzie tzw. imperialistycznych i burżuazyjnych teorii, jakie w tzw. minionym okresie zostały wyklepane, potępione i „zdemaskowane” — niepoślednie miejsce zajmuje teoria Malthusa, cały system maltuzjański i neomaltuzjański. Państwo wiedzą, że Malthus, duchowny angielski (1766—1834) wystąpił w r. 1798 ze „Studium o prawie ludności w y m”. w którym twierdził, że źródłem biedy klas pracujących jest nadmierna płodność powodująca przeludnienie, zmierzające w prostej linii do „przeludnienia absolutnego”. Zalecał więc stosowanie sztucznych ograniczeń urodzeń, w których widział „jedyną drogę ratunku”. Oczywiście, jego teoria, człowieka, który nie czytał Marksa, nie była w pełni dojrzała, bowiem Malthus upatrywał wszystkie nędze tego świata w przeludnieniu, nie biorąc w rachubę systemu rządów itp. Za to dostało mu się w Krótkim Słowniku Filozoficznym (wyd. KiW 1955) tegie lanie w typie „antynaukowa i reakcyjna teoria... zaciętego wroga mas pracujących”. Tezę tę wzięto z wypowiedzi Marksa i Engelsa, w których ten ostatni twierdził, że teoria przeludnienia Malthusa była „najbardziej jawnym wypowiedzeniem wojny proletariatu przez burżuazję”. Zapewne część racji w tym tkwiła, ale, proszę państwa, t e m p u s f u g i t, a ludzi przybywa a przybywa. Obliczono, że za lat 50 Chiny będą liczyły prawie dwa miliardy ludności. Obliczono także, iż pierwsze 50 milionów ludzi w USA „rodziło się” przez okres lat 283, a że czwarta 50-tka milionów będzie potrzebowała tylko lat 18. O czymże to mówi? Czyż nie potwierdza sformułowanego przez Malthusa prawa o g e o m e t r y c z n y m p r z y r o s t e g ł o w l u d z k i c h?

Jest oczywiste, że w perspektywie lat powiedzmy 50 czy 100, jeżeli pokój zostanie jakimś cudem zachowany — i gdy rozwinię się chemia, atomistyka, rolnictwo — wtedy oczywiście będzie można wyżywić i 10 miliardów ludzi; ziemia posiada w sobie zgoła nieprzeczuwane bogactwa i możliwości, nauka zaś nigdy nie zatrzyma się w miejscu. Wynalezienie młyna musiało stworzyć przemysł piekarniczy, wyna-

leżenie maszyny parowej — przyspieszyć bieg statków i opasać ziemię siecią torów. Każdy wynalazek niesie za sobą całą stertę pochodnych. Wszakże gdy większość wysiłków ludzkich najwybitniejszych umysłów skierowywana jest na produkowanie narzędzi masowego mordu — to trudno tu gadać i myśleć o poprawie bytu narodów świata, które przynajmniej w dwóch trzecich znajdują się w stanie nędzy.

W takiej sytuacji nikt chyba nie oskarży komunistów chińskich, że ulegli wrogiej, antyludowej doktrynie Malthusa, ponieważ p o p u l a r y z u j ą o g r a n i c z e n i e u r o d z e ń. Czyżby nie chcieli potęgę swego kraju? Czyżby nie widzieli możliwości rozwoju swego przemysłu i rolnictwa w takim stopniu, by za pół wieku móc wyżywić niemal dwa miliardy żołądków? O to ich na pewno posadzić nie można. Wiedza po prostu, iż potrzeba im pewnej stabilizacji urodzeń po to, by — osiągnąwszy konieczny poziom produkcji — móc ją powiększać w tempie przynajmniej równym przyrostowi ludności.

W samej Polsce, która nie może się wstydić zbyt rozbudowaną hodowlą psów na niekorzyść dzieci — przyrost jest tak wielki, że gdybyśmy chcieli wszystkim przyszłym pokoleniom zapewnić dobrobyt — musielibyśmy trwać w nieustającej diecie. Już w tej chwili w naszych warunkach ekonomicznych i mieszkaniowych zatrudnienie co roku około 200.000 młodzieży wchodzącej w życie stanowi problem nielada. Czyż więc nie rozsądniej będzie p r o p a g o w a ć o g r a n i c z a n i e u r o d z e ń, niż narażać cały naród na permanentną biedę?

Naród, który już teraz z trudem się wyżywia, nie może się oblednie rozmnażać na podobieństwo królików. Chyba, że stworzymy państwo-świat, w którym wszelki nadmiar rak i żołądków będzie można kierować na tereny niedoludnione: w pustynie Afryki, stopy Azji Środkowej, puszcze Brazylii. Chyba że przestaniemy nareszcie wydawać połowę swoich budżetów, albo i więcej na armaty i radary i zaczniemy budować kanały nawadniające i fabryki nawozów sztucznych. Ale do

tej zabawy trzeba dwóch chętnych.

Oskarżanie kapitalizmu o wszystko zło — już się chyba także musiało cokolwiek postarzyć. Możemy przecież powiedzieć, że niektóre kapitalistyczne kraje nie tylko świetnie dają sobie radę z wyżywieniem swojej ludności, ale także są s p i c h r z e m e k s p o r t u j ą c y m z b o ż e i mięso do szeregu krajów... rolniczych.

Trzeba więc wreszcie zakwestionować owe „prawo” Stalina, który twierdził, że w odróżnieniu od kapitalizmu dla społeczeństwa socjalistycznego prawem jest „stałe rosnący wzrost liczby ludności przy równoczesnym zmniejszaniu się umieralności, zwłaszcza umieralności wśród dzieci”. To „prawo” jest tak samo idealistyczne, jak wiele innych z tej religii. Każdemu marksistcie musi być wiadome, że tam zmniejsza się umieralność — gdzie medycyna stoi na wysokim poziomie...

Jedynie co może zastanowić, to stwierdzenie, iż w niektórych krajach Zachodu, m. in. we Francji liczba urodzin nie wzrasta, a okresami nawet maleje. No tak, ale z tego trzeba wysnuć wniosek prawdziwy a nie magiczny. To znaczy bowiem iż społeczeństwo francuskie samo, dobrowolnie ogranicza swój przyrost, że chce korzystać z dobrodziejstw państwa nieprzeludnionego. Właściwie, iż nowe miliony żołądków nie przyniosą w ich ustroju zwiększonego dobrobytu. A dobrobyt we Francji jest raczej niewielki w porównaniu z USA czy Niemcami zachodnimi. W czasach Hitlera naciści propagowali wielo-d z i e t n o ś ć — ponieważ wiedzieli, iż będzie im potrzebny żołnierz do podbojów. Dobierali w krajach podbitych specjalnie „rasowe” kobiety, przeznaczając je, jak się to dziś subtelnie określa, na „reprodukcję” ludności u e b e r m e n s c h o w. Niemcy pokojowe, ściśnięte na niewielkim terytorium nie mogą sobie pozwolić na niekontrolowany przy-

rost naturalny, to jasne. Inaczej za lat kilkanaście może się objawić jakiś nowy teoretyk „Lebensraumu” i drangu nach Osten i Westen.

Dlaczego poruszyłem ten temat? Dlatego, że nurtuje on od bardzo dawna narody i ludzi mojego pokolenia także. Jeżeli Malthus obserwował zbyt szybki przyrost w czasach, gdy ludność Europy była niemal trzykrotnie mniejsza niż obecnie — oznacza to, iż posiadał on n i e z w y k l e p r z e n i k l i w y u m y s ł. I choć trzeba odrzucić jego fałszywą teorię „naturalnej regulacji” w rodzaju niez pobiegania chorobom i wojnom — to zasadnicze jądro trzeba ocenić i badać jego społeczne odbicie. W faktach.

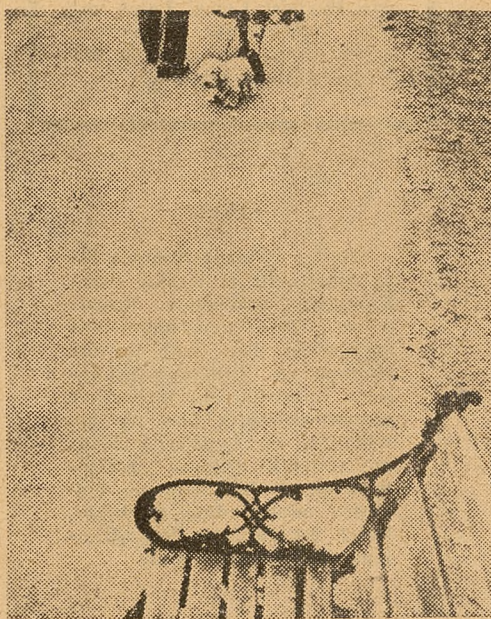
Gdy chodzi o Polskę, to nasz wielki przyrost naturalny stwarza coraz gorszą sytuację mieszkaniową, sytuację na rynku pracy, w szkolnictwie itp. Trzeba by olbrzymich pieniędzy i niezmiernego wysiłku całego dorosłego narodu — by nadać z dobudowywaniem coraz nowych dzielnic i miast, gdy walą się stare i g d y r o c z n y p r z y r o s t n o w y c h, b e z d o m n y c h m a ł ż e ń s t w s i ę g a d z i e s i ą t k t y s i ę c y.

Czy więc napisałem to, by popularyzować ograniczenia urodzeń? Tak, dlatego. Chciałbym, ażeby moi rodacy byli tak przezorni, jak np. Szwedzi czy Duńczycy. Powszechnym zjawiskiem są tam małżeństwa zwlekające z rodzeniem dzieci dopóty, dopóki ich sytuacja materialna nie zagwarantuje noworodkom w ł a s c i w y c h warunków wzrostu i rozwoju. Przy czym kryteria owej „właściwości” są jak na nasze wyobrażenia dosyć sobie nieskromne. Mimo to myślę, że kultura polega także na tym, iż człowiek zdaje sobie sprawę z o d p o w i e d z i a l n o ś c i w o b e c s w e g o p o t o m s t w a. R o b i ć d z i e c i — łatwo, ale dać im godziwe warunki, nie narażać na choroby, zimno i głód — to już wymaga trochę więcej niż, jak mawiał Boy, „zdolności do wykonywania pewnej ilości automatycznych poruszeń”. Ze strony państwa zaś — wymaga to czegoś ponad redagowanie odpowiednich paragrafów konstytucji.

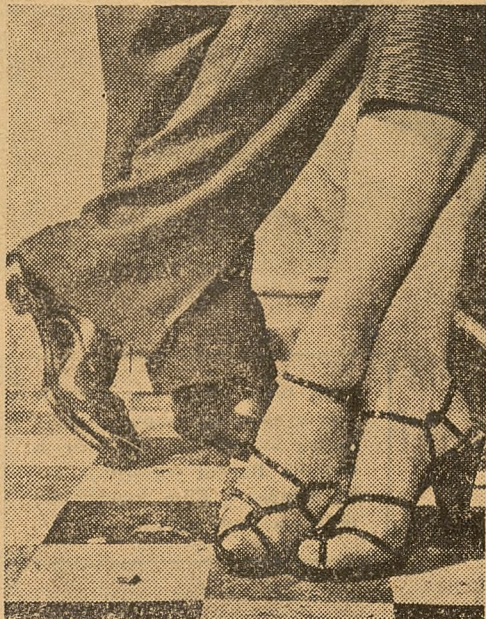
BOHDAN DROZDOWSKI



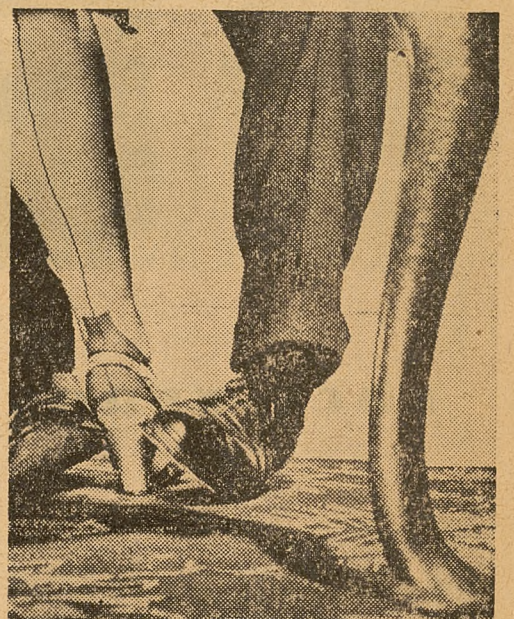
Improwizacja



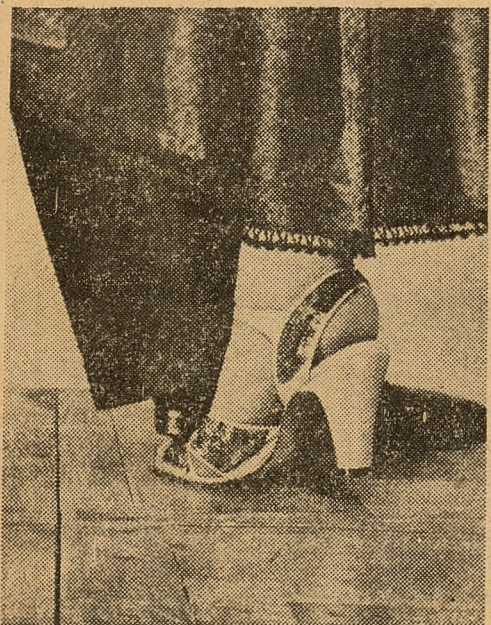
Rozmowa



Aprobata



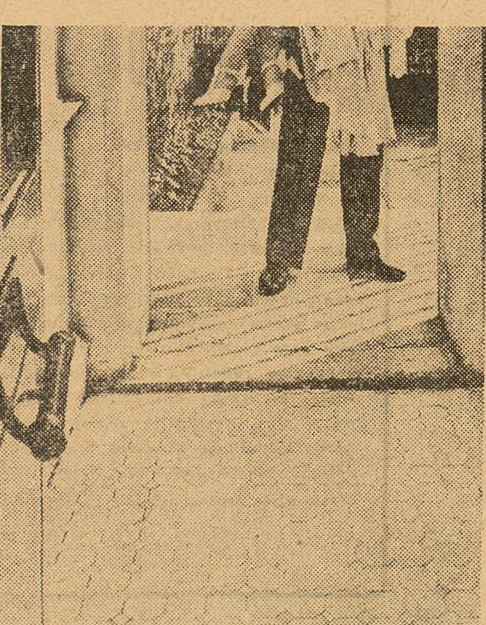
Porozumienia



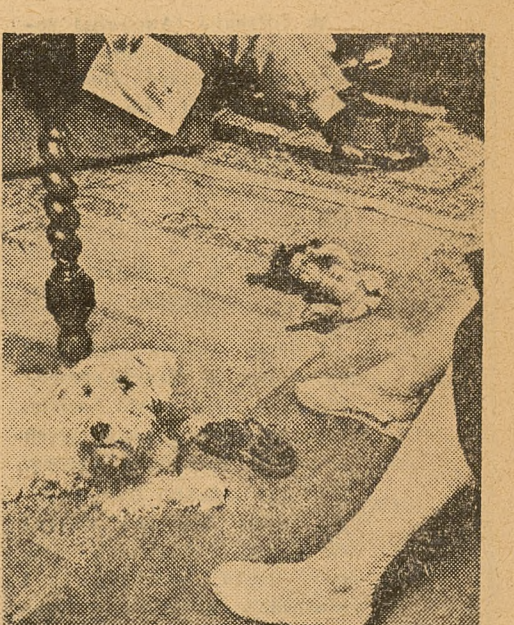
Szept



Blisko



Uprawomocnienie



Zadomowienie



NOCE NERONA

To tytuł filmu, w którym rolę cynicznego rozpustnika — cesarza — gra sam de Sica, a Brigitte Bardot występuje jako Poppea. Film kończy się pożarem Rzymu.

NIE PODSZYWAJ SIĘ POD WŁADZĘ

W Brisbane (Australia) został aresztowany osobnik nazwiskiem Bernard Donohue. Gość przebrał się za policjanta i w tym uniformie sprzedawał książeczkę pod tytułem „Przestępstwo nie płaci”.

SPEIDEL, KRÓLOWA I DUMA

Podczas pobytu królowej angielskiej w Paryżu przedstawiono jej generała Speidla, jednego z głównodowodzących wojskami zachodniej Europy. Naczelny redaktor londyńskiego „Sunday Expressu” wyraził się o tym wydarzeniu że było po prostu „szokujące”. I stwierdził... nasza duma narodowa nie jest już tym czym była przedtem”.

KRÓLOWA W KALININIE

Na zabawie młodzieżowej w Kalininie wybrano królową balu. Korespondent, który zamieścił ciekawostki z tego balu w prasie wyjaśnia ten fakt następująco: „Nieco staremodne tytuły, prawda? — Ale to przecież karnawał, a jeżeli „znosimy” a nawet zawzięcie bronimy króla na szachownicy, to dlaczego nie mielibyśmy dokonać wyboru królowej na wesołym balu młodzieżowym? Tym bardziej, że przyznanie nagrody w postaci futra z gronostajów odbyło się w konkretnym wynadku według ściśle demokratycznych zasad. Wyboru królowej dokonują wszyscy, a królowa może zostać każda. W tym celu wymagana jest piękność (to już sam Bóg tak chce), musi ponadto wyróżnić się w tańcu i dawać dowcipne odpowiedzi na żartobliwe pytania aranżera balu”.

DOSKONAŁA RADA

Londyński lekarz dr Collier uważa, że zwiększające się nieustannie w naszej epoce niebezpieczeństwo pływające z promieniowania powinno zmusić ludzkość do skondensowania zasad higieny do trzech punktów:

Po pierwsze: unikaj lekarzy — w ten sposób zabezpieczysz się przed skutkami działania promieni rentgena. Po drugie — nie pij mleka. Ograniczysz ilość izotopu radioaktywnego cezu 137 w organizmie. Po trzecie — nie wychodź w ogóle z domu. Zabezpieczysz się przed promieniami kosmicznymi.

OSTRZEŻENIE?

W spisie potraw w restauracji „Kwalify”, w stolicy Indii — New Delhi — jako specjalność zakładu poleca się „kurczę a la Stalingrad”.

RENE CLAIR PRZECIW NAGOŚCI

Słynny reżyser wystąpił bardzo ostro przeciwko obnażaniu się młodej aktorki Dany Carrel („Wielkie manewry”) podczas pozowania do zdjęć w prasie. „Jest zbyt dobrą artystką — oświadczył o swej pupille — aby miała naśladować maniery Brigitte Bardot”.

IDEALNY ZWIĄZEK

„To jest naprawdę idealny związek. Patrząc z nadzieją w przyszłość” — oświadczył 35-letni Otisfield Gore ze stanu Maine (USA) żeniąc się z 27-letnią niewiastą.

RUCHOMOŚCI

Policjanci nowojorscy zatrzymali na ulicy nagiego osobnika, którym okazał się pan Herbert Lomb. Lomb został do czasu nie rozbrany przez bandytów. Zabrali mu nawet protezę zębów.

NIE FIGURUJE

„Sowietskaja Kultura” z dnia 7 maja o polskim filmie „Kariera Nikodema Dykmy” wyświetlanym na ekranach radiotelewizyjnych:

„Jedną rolę w filmie została zagrana w sposób szczerej groteski, co nie narusza ogólnego stylu, ponieważ rolę tę jest rolą specyficzną. Niejaki mister Cok to „król zboża” przedstawiciel bardzo bogatego kraju, który być może udzielił Polsce kredytu na odpowiednich warunkach. Mr Cok w ogóle przyzwyczajony jest zachowywać się bardzo swobodnie, a tutaj czuje się ponad opanem sytuacji, nie na próżno ubiegają się tak o jego względy. Oto on: chodzi zamasztyowanym krokiem — mówi nie wymijając cygara z ust, a właściwie nie mówi, bo nie ma ochoty. Wyrzuca z siebie niezrozumiałe, podobne do szczykania dźwięki; nie nie szkodzi, rozumieją i tak... Szkoda, że wykonawca tej roli nie figuruje w napisach i nie znamy jego nazwiska. Zagrał swoją rolę — wspaniale!”

RYWALIZACJA

Polityk amerykański George H. Mahon wezwał prezydenta Eisenhowera do podjęcia akcji przeciw ambicjonalnej rywalizacji, która rozwija się coraz mocniej między poszczególnymi jednostkami armii amerykańskiej. Podobno rywalizacja ta kosztuje miliony. Zwłaszcza kosztowny jest wyścig mody wojskowej. Zakończyć te swoje zawody — mówi polityk Mahon — może tylko wprowadzenie jednolitych uniformów dla armii lądowej, marynarki i lotnictwa.

LINIA

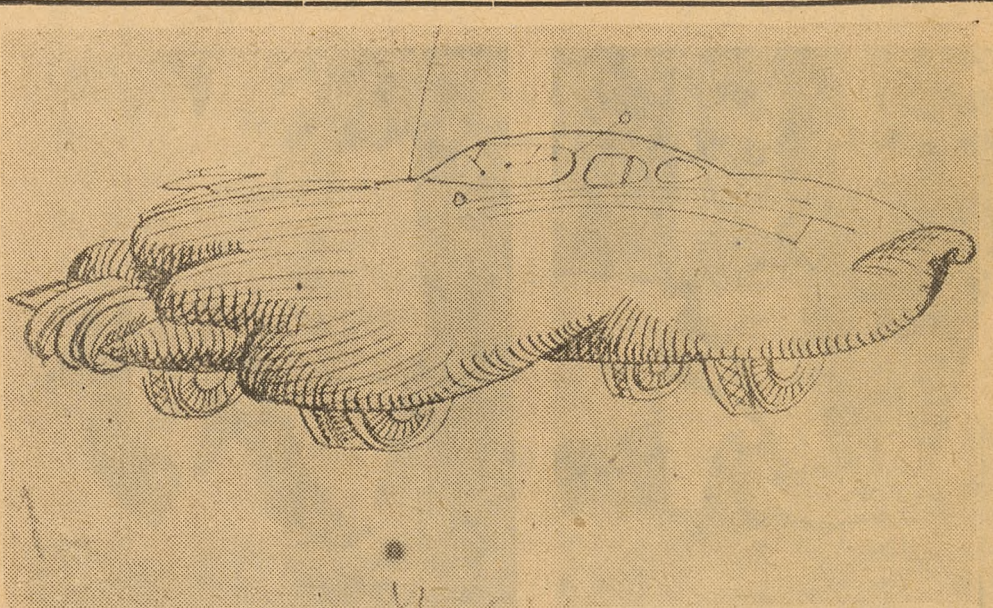
Włoska gwiazda filmowa Elsa Martinelli za ciężkie przekroczenie przepisów drogowych (jeździła z nadmierną szybkością itd. itd.) została skazana na kilkanaście miesięcy aresztu. Gdy wyrok się uprawomocni (a Elsa nie ma widoków na wyjście z trudnej sytuacji) aktorka postanowiła sprowadzić sobie do więzienia odpowiednie produkty, które pozwoliłyby jej utrzymać zgrabną linię ciała.

DLA LUDU

Yves Montand zwierza się w swej książeczce „Moje życie”:

„Najpierw zdecydowałem się na Packarda. Obszerny, wygodny, o silnym motorze, pozwalał na wspólne tournée z Simone i moimi akompaniatorami. Ale któregoś dnia, mijając przystanek autobusowy, usłyszałem parę gorzkich uwag z ust stojących tam robotników i pomyślałem sobie, że trzeba unikać rzucającego się w oczy luksusu. Sprzedałem Packarda i kupiłem Bentleya, który był droższy, ale skromniejszy...”

Jak wiele można uczynić dla ludu...



»NIENASYCENIE«

ST. I. WITKIEWICZ

Prasa doniosła, że w najbliższym czasie ma się ukazać w naszych księgarniach wznowienie głośnej przed wojną powieści Stanisława Ignacego Witkiewicza „Nienasycenie“. Aby jeszcze przedtem przypomnieć Czytelnikom tę niezwykłą (z wielu względów) książkę, zamieszczamy poniżej kilka cytatów:

Z tomu I-go p. t. „PRZEBUDZENIE“:

„...Po pieczeniu z dzika i świetnej jałowcówce rozmowa wróciła do poprzedniego. Afanasol, również twórca nowej matematyki — raczej całego ich systemu w analogii do geometrii — wskutek nieuznania go przez ogół polskich uczonych, zajmujących oficjalne posady, nie był zadowolony ze swego losu. Stanowił razem z Tengierem trójkę doskonałych malkontentów. Bo, mimo całego neo-katolicyzmu, książę Bazyli nie miałby nic przeciw powroćciu do niego 40 000-cy dziesięcin jego ukraińskich dóbr, z kluczem ostrogskim na czele...“

„...Księżna rozbiła się szybko przed lustrem. Gniotące milczenie trwało. Szelest sukien zdawał się być strasznym hałasem, zdolnym cały dom porwać na nogi. Pierwszy raz widział Zypcio coś podobnie wspólnego. Czymże były wobec tego najcudowniejsze widoki górskie. W mroku znikły drobne (drobniutkie) usterki tej przepięknej bydlęcej mordy (uśmiechającej się do niego z lustrą, wywlekającym flaki uśmiechem), którą owiewał dookoła potężny duch, jak huragan szczyt jakiś niedosiężny...“

„...cały kraj zalany był podobno przez wyznawców wiary Dżewaniego, „podnóżka“ wielkiego Murti Binga, wielkiego herezjarchy syntezy dawnych wierzeń Wschodu, stworzonej, jak mówiono, przez lorda Berquith, na użytek upadającej Anglii...“

Z tomu II-go pt. „OBŁĘD“:

„...A więc ten teatr był zaprzeczeniem wszelkiego artyzmu: rzeczywistość, starsza rozpustnica królowała w nim rozparta obrzydliwie, nieumyta, rozkraczona, smierząca surowym mięsem i śledziami, rokrocznie i krajową psychiczną bryndzą, landrynkami i tanus'm „perfumem“, tak zwanym „kokotenduffem“. Zbombonizowanie potworności. A jednak, a jednak...? Nie można było się od tego oderwać. „Pozornie niby nic, a jednak zwist jej cye“ — tak śpiewały jakś zakazane mordy gdzieś, w nieznanym osobliwym Zypciowi, ogrodach bogini Asztoreth...“

„...W mieszkaniu znanej artystki teatru Kwintofrona Wieczorowicza, pani P. Z., nieznanego sprawcę zamordował uderzeniem tapicarskiego młotka w głowę, sublokatora tejże pułk. Michała Węboraka, byłego pilota i byłego szefa gabinetu generalnego kwatermistrza Kocmołuchowicza. Przebywał on w K. Inco-gnito, jako urzędnik dla specjalnych poruczeń ministra wojny...“

„...Z nadzwyczajnymi honorami posadzono Kocmołuchowicza i Persy na pierwszych miejscach. Po lewej stronie miała Zwerżatkowska samego Wangę; Kocmołuchowicz miał po prawej szefa sztabu generalnego Ping-Fang-Lo... Wang wstał i biorąc w ręce olbrzymie kielich oryginalnego Dubois, rzekł w czystej nad wyraz angielszczyźnie:

— Ekscelecjo: mam honor powitać pana pierwszego w naszym sztabie po świetnym czynie, dokonanym przez Niego w imię uczuć obejmujących ludzkość całą. Jednak, ceniąc jak nikt zasługi pańskie, nie mogę nie uznać pana za jednego z najmniejbezpieczniejszych indywidualistów, należących raczej do epok minionych niż do naszej. Dlatego, dla dobra całej ludzkości, dla którego pan, panie Kocmołuchowicz, poświęcił był ambicję wodza jako takiego i prosił honor pierwszego oficera swego kraju... jestem zmuszony skazać pana na śmierć przez ścięcie...“

ANGLIA.

Barmenka Vera Smith została obrażona przez jednego z klientów. „Gdybym nie poznała, że to ks. Kentu, byłabym kazała go zaarrestować“ — powiedziała.

Robert Caro jest od pewnego czasu uczulony na bardzo specjalny bodziec. Każde zbliżenie się do żony wywołuje u niego kichanie. Jedy-nym lečeniem, jakie Robert może w tej chwili zastosować przeciw temu „katarowi małżeńskiemu“ jest unikanie żony.

Co roku przed komisjami wojskowymi w Anglii staje około 10 tysięcy ochotników, których rozwój umysłowy jest równy poziomowi wiedzy 12-letniego chłopca.

FRANCJA.

27-letni Michel Brunelat przejechał samotnie 52.000 km na skuterze, objeżdżając wszystkie części świata. W podróży utrzymywał się z wygłaszania odczytów, ilustrowanych własnymi zdjęciami. Po drodze odwiedził m. in. Hemingway'a, który wyznał mu, że zachował z Afryki tak piękne wspomnienia, że tylko tam chciałby umrzeć. Dziś Brunelat marzy o spędzeniu wakacji w Cannes, którego jeszcze nie zna!

Wkrótce prezydent Coty wybierze się z wizytą do USA. Francja domaga się, aby Eisenhower powitał jej prezydenta na lotnisku, tak, jak to miało miejsce z Ibn Saudem.

Przemysł plastyczny we Francji wykupuje masowo spirytus. Istnieje obawa, że popyt ten naruszy równowagę magazynową zapasów. Zamiast wydawać sumy na walkę z alkoholizmem, może byśmy zaczęli po prostu eksportować nasz spirytus.

W samolocie, obsługującym linię Paryż—Bagdad, na wysokości 6.000 metrów z niewiadomego powodu wypadło okienko. Ponieważ kabina miała urządzenia klimatyzacyjne, powstała tak silna różnica ciśnień, że śpiący przy okienku na fotelu pasażer, 31-letni Amerykanin Jack Nash, został wyrzucony z samolotu. Znalaziono jego zwłoki na piaskach pustyni. Przyczyna wypadku mógł być albo meteoryt, który trafił w okienko, albo błąd konstrukcyjny, który spowodował że szyba nie wytrzymała żądanej od niej wytrzymałości na ciśnienie.

IZRAEL

Transport ropy przez rurociąg Morze Czerwone—Morze Śródziemne będzie o 15 proc. tańszy niż przez kanał Sueski.

KAIR.

Nasser zabronił zbiórki pieniędzy w kościołach.

NRF

Trwa polemika między osławioną Eriką Pappritz, szefem protokołu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a kilkoma posłami opozycji, których pani Pappritz oskarżyła o brak męskości z powodu poszenia długich

niewymownych. Proszono Adenauera o usunięcie tego „lyrana w spódnicę“, ale na razie bez skutku.

PŁD. AFRYKA

Pewien farmer wypróbował nową metodę ochrony swych pól przed hipopotamami. Oto rozsiewa na ziemi środek własnego wynalazku, wydzielający silną charakterystyczną woń lwów.

SZWECJA

Ministerstwo Marynarki wystawiło na sprzedaż łódź podwodną w dobrym stanie, z kompletnym wyposażeniem i zapasami którą może zakupić państwo lub osoba prywatna (byłe nie narodowości szwedzkiej).

USA

William Villard lat 12 z Rapid City strzałem z karabinu zabił swą nauczycielkę muzyki. W śledztwie powiedział, że czyn ten popełnił, aby ostrzec rodziców całego świata, jak niebezpiecznie jest zmuszać dzieci do uczenia się gry na fortepianie.

Konkurs na najpiękniejszą twarz wygrał Joe Wilkins, otrzymując wysoką premię. Ponieważ jednak wykazał, że żona wysłała na konkurs zdjęcie bez jego wiedzy, otrzymał dodatkowe odszkodowanie w wysokości dwa razy większej od swej nagrody.

Chrysler zamówił w Turynie 50 luksusowych karoserii do największych samochodów świata. Mają one wymiary 6,40 na 2,08 metra. Pierwszy z nich przeznaczony jest dla Eisenhowera.

Według statystyki UNESCO dwiema najbardziej czytanyymi autorkami świata są: Agata Christie i Pearl Buck.

Niedawno gubernator stanu New Jersey zawiadomił niespodziewanie i ku wielkiemu początkowo przerażeniu parafian w Hackensack że ich pasior Jerry Cacopardo po wielu latach odraczania wyroku został ostatecznie zwolniony z odsiadki, a na drugiej połowie kary za zabicie młodej dziewczyny.

Cacopardo padł mianowicie ofiarą jednej z największych pomyłek sądowych USA, która kosztowała niewinnego i uczciwego człowieka 15 lat więzienia, z czego 3 lata w Sing-Sing.

WŁOCHY

Wody jeziora Albano nabrały różowego koloru. Uczeń nie wyjaśnił dotychczas powodów tego zjawiska.

Kościół wystąpił ostatnio ostro przeciw demoralizacji szerzącej się we Włoszech przez afisze filmowe i prasę. Bezpośrednim powodem tej akcji był rozplakatowanie przez Agencję Reklamową afiszów z filmu „Panna rozbieralska“ z Brigitte Bardot.

Podsluchane w tramwaju: „Wiesz, kazałam sobie dopasować kostium w biurowych i w białym, ale nie za-nadto, bo nie chcę nadużywać swych argumentów“.



EWA JURKIEWICZ

Nagły i niespodziewany przewodnik po Krakowie

(2)

Dziś:
Restauracje oraz legendy
Restauracje.

Żyjemy w epoce restauracji. Wystarczy spojrzeć na ulice codziennie wieczorem. Zwłaszcza w mieście Krakowie roi się od restauracji. Zaistniała nawet obawa podstępnej restauracji monarchii c. k. w tym mieście. Zgodnie z opinią szerokich mas ludowych przystąpiono do sprawniej likwidacji tego i innych niebezpieczeństw, stosując starą metodę „klin — klinem“. Postanowiono w tym celu odrestaurować szereg co najzastawniejszych zabytkowych figur z epoki fenolowej. Gwarantuje skutecznego przeprowadzenia akcji daje fakt, że co drugi działacz w Krakowie jest artystą. A wiadomo że nasi artyści to specjali-

ści od pobielania grobów. Eksperyment musi się udać.

Konkurs kulinarny

Uwaga turyści

Zwłaszcza turyści z Warszawy

Redakcja „Nagłego i niespodziewanego przewodnika“ ogłasza nieustający wielki konkurs, pod hasłem: kto wreszcie zdoła zjeść najstrawniejszy przysmak krakowski „Barany z grzybami“, najpolarniejszą potrawę rynkową.

Restauracji ciąg dalszy:

Co można skosztować w naszym mieście? Starym zwyczajem każdy stara się tu zjeść każdego, nie pod-

padając jednak nigdy pod wyroki sądowe. W niektórych kołach w Krakowie z powodu braku pomarańcz, cytryn oraz jabłek w Delikatessach, modne jest spożywanie po kawałku owoców ubiegłej jesieni. Ostrzega się amatorów przed tym ostatnim rodzajem konsumpcji: owoce te bowiem mogą stanąć kością w gardle.

Legenda.

Dbając o rzetelną informację zwróciliśmy się do CEP-u (Centrala Ewolucji Przypowieści — dawniej: Centrala Rewolucji Przypowieści) z prośbą o ustosunkowanie się do znanej legendy o Wandzie. Otrzymałszy uprzejme wyjaśnienie z dopiskiem, Oto one:

„Któż nie zna legendy o Wandzie co nie chciała Niemca. My z NRD

jesteśmy w przyjaznych stosunkach i strzeżemy pilnie pokoju na Odrze i Nysie Łużyckiej. Otoż legenda jest fałszywa. Wanda to wcale nie Wanda. Pewną dziewczynę przezwano po prostu Wam — da z powodu bujnego życia jakie prowadziła zaraz po wywołaniu kraju od najeźdźców. Trafił do niej raz pewien Czech, żołnierz nazwiskiem Rydygier, któremu jednak dziewczyna odmówiła usług, ponieważ nie posiadał pieniędzy. Dowiedziawszy się o tym czynnie pewne mało odpowiedzialne czynniki z Urzędu. Wytoczono dziewczynie śledztwo w czasie którego zastosowano szereg niedozwolonych chwytów. Ale wszystko wtedy zaczęło się zmieniać. Po czym dziewczynę wysłano do Wisły (miejscowości klimatyczna — można ją zwiedzić) w celu leczenia. Oczywiście działo się to już za pieniądze

wyżej wym. Urzędu, w którym wówczas już zaczęło być całkiem inaczej. Mimo to, chcąc niepotrzebnie zataić nazwisko żołnierza Rydygierka i jego narodowość stworzono legendę o Wandzie co nie chciała Niemca, wykorzystując świeże animozje narodowościowe. Co niniejszym wyjaśniamy chcąc wprowadzić jawność do życia międzynarodowego jak to Władze Nasze wprowadzają. Ja ostatnio w całym Wnętrzu naszego rozkwitającego Kraju.

Podpisano

za CEP

(podpis nieczytelny)

P. S.: Interpretację legendy dla turystów innych narodów właśnie opracowujemy — CEP.

(Ciąg dalszy przewodnika nastąpi.)

ROZWAŻANIA O SUKCESIE PREHISTORIA I HISTORIA

JAN PAWEŁ GAWLIK

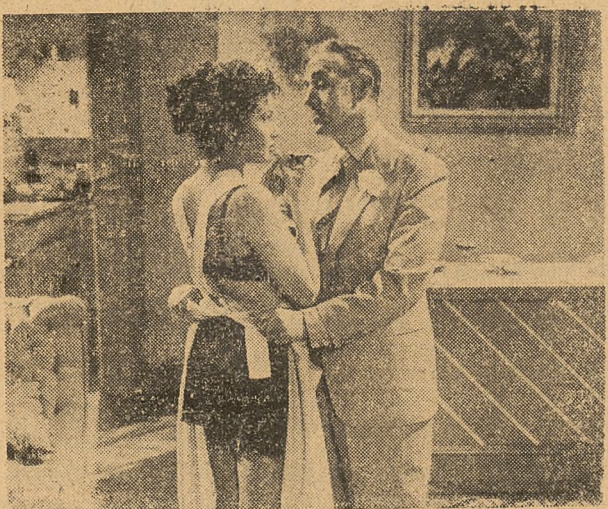
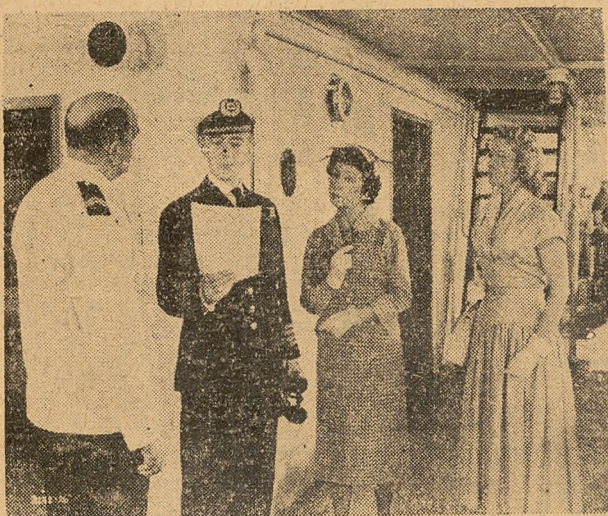
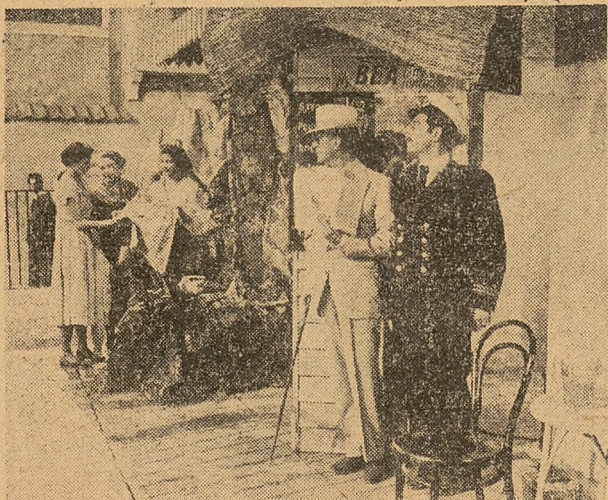


Zdjęcia ze sztuk:

Werfel „Jacobowsky i pułkownik“.

Goldoni „Sługa dwóch panów“.

Gozzi „Turandot“.



RAJ KAPITANA

angielska komedia filmowa, w której reżyser Anthony Kimmins z udziałem artystek Yvonne de Carlo, Celi Johnson i aktora Alec Guinnessa opowiada historię marynarza, genialnego stratega miłości, a którego w końcu znajomość kobiet również zawodzi.

*

Na jednym ze statków utrzymujących stałą łączność między Gibraltarem a jednym z portów północnej Afryki, Henry St. James od wielu lat pełnił funkcję kapitana. Nieobojętna mu była pieć odmienna lecz wyznawał zasadę, że jedna kobieta nie może wykazywać pełni cnót i zalet niewieścich.

Będąc przy tym człowiekiem wygodnym, odpowiednio też urządził sobie życie pomiędzy rej-sami.

*

Nita — dzieć natury rozmówiane w ozdabia-niu swych wdzięków, cud i dzikie pożądanie była marzeniem zaprzątającym umysł kapitana od połowy drogi z Gibraltaru do Afryki.

Żył Nita zabawą i tańcem.

W arabskim porcie, Jimmy St. James, nie po-zwalał trudzić rączek gospodarstwem i niszczyć-cery klimatem kuchennym, kapłance miłości — pięknej Nicie.

*

U wrót raju znajdował się, Henryk St. James w Gibraltarze, przebywając ze swą trzeźwą, sta-teczną i rozsądną żoną.

Zadowolenie sprawiały smaczne domowe po-trawy, a w dobry humor potrafiły wprowadzić kapitana, sprezentowane przez żonę skarpetki.

*

Lata miały, idylla trwała. Dla załogi okrętu kapitan St. James był bohaterem. Uwielbiał go porucznik Ricco za umiejętność urządzania sobie życia, a kapitan tak zręcznie manewrował, aby obie kobiety nie mogły się spotkać.

Niespodziewanie dla wszystkich, spotkanie je-dnak nastąpiło. Od tej pory szczęście zaczęło ka-pitana opuszczać, aż w końcu „raj“ zamknął przed nim szeroko do niedawna otwarte wrota.

Zostały wspomnienia — szlafrok i samo-tny tapczan.



Kiedy półtora roku temu Krystyna Skuszanka obejmowała Teatr Ludowy w Nowej Hucie — była to jeszcze wielka niewiadoma. Wprawdzie ci, którzy znali jej prace opolskie byli jak najlepszej myśli, a ci którzy podejmowali decyzję, chętnie przyjmowali ryzyko wprowadzenia na nową scenę młodej, mało jeszcze znanej reżyserki, krzyżując tym, nawiasem mówiąc, niejedno pobożne życzenie, ale dla większości ludzi teatru, dla większości teatromanów i kibiców sceny Skuszanka i jej teatr były jeszcze *tabula rasa*.

Nowicjuszkę przyjęło z przekąsem, nie pozabawionym jednakże tegoż życiowego zainteresowania, jakie charakterystyczne, spontaniczne oczekiwanie kłapy. Rychno znalazli się miedzy, posiadający zawsze ukasztowany poglad na wszystkie zawilosci swiata, ktorzy nie szczedząc cennego czasu zabrali sie do udzielania porad, tudziez formulan na werdyktow na temat czym powinien, a czym nie powinien byc teatr w Nowej Hucie. Skuszanke nie braklo tupetu. W najtrudniejszym okresie oglosila w „Zyciu literackim” swoj manifest artystyczny, pozbawiony cech franciszkańskiej pokory, prowokując tym jednym z dyrektorów pozostałych teatrów Krakowa do godnej repliki, w jakiej czulo sie profesjonalna pewnosć siebie czlowieka ufajacego hierarchii i tradycji. Sprawa miala posmak skandalu ze wzgledu na szczegolny ton polemiki: od razu bylo wiadomo, ze idzie o wielka stawke. Nikt jednak nie wiedzial naprawde o co mianowicie zaczyna sie boje i nawet bardzo nieliczni wówczas, ale za to pewni zwolennicy Skuszanki nie przypuszczali, ze kilkun o to jeden z najciekawszych, najbardziej tworczych teatrów kraju. Pierwsza premiera, raczej symboliczna niz reprezentacyjna dla przyszlej linii teatru, zgromadzila wiele tuzow i przyniosla kilka uprzejmych recenzji. Dopiero druga inscenizacja nowego teatru — *Księżniczka Turandot* — stala sie przedmiotem zgorzienia. Nie byla to juz pogodna zreczna „spiewogra”, sciagnieta z naleznym szacunkiem od wielkiego Schillera, ale manifestacja teatru o duzej suwerenności i dojrzalosci artystycznej, nader oryginalnego i bogatego w pomysly inscenizacyjne, ktorzy latwo mogl stac sie niebezpiecznym rywalem dla pozostałych zespołów miasta, a nawet mogl siegnac po palme pierwszeństwa, bynajmniej nie zarezerwowana dla scen o ciekawej i godnej przeszlosci, siegajacej Pawlikowskiego. Wbrew wyraźnym złudzeniom ich kierownictwa, rozpaczliwie drapiących się na koturny, w chwili gdy grunt zaczyna chwieć się pod nóż, a ostatni maruderzy sceny nie mają już wątpliwości, gdzie kryje się zwycięstwo, a gdzie klęska teatru. *Księżniczka Turandot* otoczyło milczenie. Kraków nie zauważył przedstawienia. Jeden z suwerennych krytyków obraził się na teatr, inny — w najlepszej wierze — napisał po pewnym czasie pryncypialną recenzję, deprecjonującą wagę zjawiska, albowiem szukał w nim przede wszystkim wartości ideowych, podczas gdy było ono tylko manifestem artystycznym, o ukrytej, lecz niemniej słusznej filozofii. W okresie tym różnicę stanowisk (i intencji) zaznaczały się wyraźnie i wszystko wskazywało na to, że świetnie zapowiadający się teatr — przeżywa, a właściwie pierwsze, dramatyczne trudności z nową widownią — zostanie po prostu zignorowany przez solidne, ugruntowane tysiącami wiekami profesjonalnymi, poważnie zagrożone obecnością nowego partnera — krakowskie środowisko teatralne. Szczególnie dwa pierwsze miesiące nie wróżyły nowej scenie niczego dobrego — aż do momentu, w jakim odezwała się Warszawa. Właśnie teatr w Nowej Hucie zawiązywał leglizację sukcesu, a częściowo i sam sukces — pojęty jako odzew opinii a nie obiektywna wartość dzieła — redakcją i środowiskom warszawskim. Dopiero recenzja Krala w „Teatrze” i reportaż Kozickiego w „Nowej Kulturze”, sprawozdanie niżej podpisanego w czasopiśmie „Polska” a potem publikacje Treugutta w „Przeglądzie Kulturalnym” przewrót ten zwiłzłw krag milczenia i przywrócił scenie nowohuckiej właściwą atmosferę. Określiły również hierarchie i wagę zjawiska. Gościnne występy teatru w Warszawie i adacie ubiegłego roku z *Balladyna* i adaptacją *Myszy i ludzi* Steinbecka dokonana i reżyserowana przez Jerzego Krassowskiego utwierdziły sukces zespołu Skuszanki. Stały się jak gdyby biletem wizytowym, dobrym biletem wizytowym złożonym przez teatr stołecznej publiczności. Warszawa giełda artystyczna momentalnie oddzielała na krakowską, oświecając tysiące snobów o wartości pomijanego dotychczas teatru.

Teatr Skuszanki stał się modny. Antagoniści zaczęli go dostrzegać, a nawet o nim pisać, dobrze pisać, z ową imponującą mi zawsze zrecznością i pełną, niczym niezamocną, autorytatywnością, zrodzoną z poczucia własnej nieomyślności.

PRZYMIERZE Z EPOKĄ

Zainteresowania sceniczne Skuszanki idą w dwu kierunkach: w kierunku wypracowania własnej formy scenicznego oraz w kierunku stworzenia teatru politycznego, teatru silnych spieć ideowych i moralnych, stanowiących odbicie dramatów wstrząsających epoką. Teatr polityczny Skuszanki to sceniczną transwestacją konfliktów i problemów, którymi żyje współczesność. Pierwszy kierunek tych zainteresowań — forma — nawiązuje wyraźnie do typu teatru integralnego, teatru wszechstrukt, twórczonego swego czasu przez Meyerholda i Wachtangowa w Rosji, u nas zaś kształtowanego przez Schillera. *Księżniczka Turandot* i *Sluga dwu panów* to najlepsze — jak dotychczas — osiągnięcia Skuszanki w tym zakresie. Forma wybija się tu na plan pierwszy, forma i pomysły scenicznego, reżyserki gag, ożywiający obraz i nadający mu dużą lekkość, wdziek i świeżość, tak charakterystyczną dla tego nurtu twórczości młodego reżysera. Plastyka zrodzona z ścisłego przymierza z współczesnością sztuki zjednuje prostotę i żywiołową formę. Podkreśla również jej artystyczną suwerenność. Bawiem forma w przedstawieniach tego typu jest u Skuszanki wartością najważniejszą. Treść przedstawienia staje się pretekstem dla rozwinięcia pomysłowości formalnej (w sztukach politycznych stanie się pretekstem do odpowiedniej aluzji). Pretekstem do pokazania bogatej faktury nowoczesnego teatru. Obraz zyskuje przez to głębię artystyczną, staje się wielowarstwowy, lub może lepiej — wielotonalny. Do głosu dochodzi odpowiednio ukasztowane bogactwo planów artystycznych — od ustyłowania anegdoty do ogólnego kształtu scenicznego widowiska — pozwalające na różnicowanie przeżywania dzieła w zależności od smaku i kultury teatralnej widza. Każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Bogactwo formy ulega jednak ograniczeniu w repertuarze, w jakim do głosu dochodzi aluzja polityczna, owo wielkie wołanie o współczesność, przetaczającej się poza murami budynku i władającej niepodzielnie sercami i umysłami aktorów i widzów. Pomysłowość formalna zostaje podporządkowana zasadniczej intelektualnej tezie przedstawienia, kształt scenicznego ograniczony, z wyraźnym poszukiwaniem monumentalności (*Balladyna*) lub groteski (*Miarka*). Monumentalizacja obrazu, pewien patos gestu wprowadzany uparcie do surowej prostoty służy tu podkreśleniu treści, wydobyciu jej najważniejszych akcentów, wybranych przez reżysera spośród wielu innych możliwych interpretacji. Pierwszym przedstawieniem tego typu, jakie widziałem w teatrze Skuszanki było — grane jeszcze w Opolu — *Ludzie i cienie* Wydrzyńskiego w znakomitej — już wówczas! — oprawie plastycznej Józefa Szajny. Drugim stała się *Balladyna*. Trzecim, łączącym różne cechy teatru Skuszanki, ale wyrosłym niewątpliwie z bweł oszczędnej, monumentalizującej linii była *Miarka za miarkę*. Ewolucja formy tych trzech przedstawień jest równocześnie ewolucja warsztatu artystycznego reżysera. *Ludzie i cienie* zawierające w zależku wszystkie cechy przyszłego teatru Skuszanki charakteryzowały się — dostrzegaliśmy w retrospekcji — pewną jeszcze nieporadnością warsztatu, zrecznie udrapowaną w surowy patos obrazu i gestu. Te same właściwości mogliśmy obserwować w *Balladynie*. Obraz jednak był tutaj przejrzystszy, bardziej czysty, pewniej komponowany, głębszy w wymowie ideowej. Najbogatszy wyraz teatr ten znalazł jednak w *Miarce za miarkę*. Nie było to przedstawienie komponowane z jednolitego materiału, ale rozwijało zawartą już w *Balladynie* dwoistość rzeczywistości, przeplatającą — tam: realizm z poezją, tu: powagę z groteską, dramat z farsą. Budowane w przymierzach ze znakomitą scenografią Tadeusza Kantora było na pewno najdojrzalszym — jak dotychczas — osiągnięciem Skuszanki, łączącym jej inwencję sceniczną z przyjętymi założeniami filozoficznymi.

W *Balladynie* przedmiotem zainteresowania teatru był problem władzy. Problem władzy pozbawionej ograniczeń moralnych, zmierzającej *per fas et nefas* do celu, niweczącej ludzkie wartości za cenę zdobycia własnych korzyści. Teatr, kształtując w obu tych wypadkach dramat władzy, równocześnie osądzał bohaterów, nie pozostawiając wątpliwości, co do charakteru aluzji i własnego stanowiska wobec spraw poruszonych w przedstawieniu. Wyrażał w ten sposób swoją

aktualność. Swoją nerw polityczny. Swoją związek z epoką.

Wprawdzie wielu gorszyło to wyszukiwanie dramatu w pogodnej — rzekomo — komedii Szekspira, w czym kryła się negacja uprawnień reżysera w stosunku do autora, ale niezależnie od oceny założeń — przedstawienie było wielkim wołaniem teatru o ograniczenie samowoli, o praworządność, o surowość i równość prawa.

WSPÓLNY FRONT

Obok prac Skuszanki określających podstawowe założenia artystyczne teatru widzieliśmy na nowohuckiej scenie dwie inscenizacje Jerzego Krassowskiego i jedną Jerzego Zegalskiego, bardzo istotne dla określenia linii teatru. *Myszy i ludzie* i *Jacobowski i pułkownik* zyskały sobie ogromne uznanie i pochlebną prasę. O tym ostatnim przedstawieniu pisał ostatnio w „Przeglądzie Kulturalnym” Treugutt, w „Nowej Kulturze” Pomianowski, w „Tygodniku Powszechnym” Zastępcza, nie będziemy więc powtarzać pochwał, ani dublować argumentów. Zajmiemy się natomiast inscenizacjami Krassowskiego pod kątem ich roli w kształtowaniu linii artystycznej teatru. Krassowski jest reżyserem konkretnym. Podczas gdy Skuszanka ma pewne skłonności do abstrakcji, do snucia daleko idących aluzji, czy przeczucia określonych treści społecznych czy — częściej — moralnych na odrębne, umowne przyjęte obrazy artystyczne — wizja Krassowskiego jest zawsze prosta i dobrze osadzona w konkretnym społecznym. Czasem tona racjonalną i racjonalistyczną przejrzystością obrazu pokryje — jak w *Jacobowskim* — lekka deformacja, delikatne przekrzywienie, zmierzające do pełniejszego wydobycia charakterystyki osób i sytuacji, ale będzie ono zawsze najściślej splecione z ogólnym założeniem inscenizacji, wypływającym z potrzeby jasnego narysowania społecznego czy historycznego tła dramatu. Krassowski — z pewnością bardziej niż Skuszanka — pasjonuje się materialną mechaniką konfliktów międzyludzkich — co oczywiście nie znaczy, że w jego przedstawieniach spotykamy się z jakimś socjologizmem, upraszczającym istotne związki przyczynowe zdarzeń. Jest jednak bardziej historyczny i z pewnością mniej abstrakcyjny. Jeśli Skuszanka jest reżyserem wielkich konfliktów moralnych i spieć ideowych — Krassowski jest reżyserem dramatów społecznych. Oczywiście upraszczam, ale zmierzam do pokazania pewnej właściwości jego teatru, która wydaje mi się cennym uzupełnieniem linii teatru nowohuckiego. To zainteresowanie społeczną mechaniką dramatu, prowadzące prostą drogą do *Myszy i ludzi*, wydawało mi się nawet pewnym zubożeniem materii dramatycznej ukasztowanej z powieści Steinbecka — aż do momentu gdy Jacobowski nie odsłonił innej, wyłożonej właśnie, prawidłowości zjawiska. Krassowskiego, jak przystało na racjonalistycznego sceptyka, mniej interesują principia moralne człowieka poddanego najwyższemu ciśnieniu powinności i strachu — bardziej natomiast pozornie niewiele znaczące reakcje wywołane szeregiem drobnych przyczyn, składające się na ogólny kształt dramatu. Stąd jego metody reżyserską można by nazwać indukcyjną w przeciwieństwie do dedukcyjnych, apriorycznych inscenizacji Skuszanki. Oba te założenia tworzą całość — czego dowodem organiczna jedność obu przedstawień Krassowskiego w linii Teatru Ludowego. Krassowski nie tylko tworzy w stylu teatru Skuszanki, ale wyraźnie uzupełnia go i rozwija. Przynajmniej dotychczas.

Odrzucając wysłużoną makietę teatru mieszczańskiego Skuszanka musiała dać wyraz wszystkiemu, co zwalczała dotąd konsekwentnie, jako przejaw niebezpiecznej wolności w sprawach sztuki, uważając wszelką samodzielność nieomal za rebelię polityczną. Rebelia taką, skutecznie swego czasu wypieraną z teatru, była groteska. Groteska jest więc dziś osnową przedstawień Skuszanki — szczególnie wyrazistą w *Księżniczce* i *Sludze dwóch panów*. Gdy jednak groteska użyta w inscenizacji Groździe czy Goldoniego jest groteską komijną, raczej rozbawiającą niż ośmieszającą, to groteska Bohatera naszego świata Syngela, ukasztowana w znakomitej inscenizacji Jerzego Zegalskiego i Józefa Szajny, jest już groteską tragiczną o — paradoksalnie — przejrzystej, komicznej tkance. Nie rozbawia, ale deformuje rzeczywistość dla pokazania atmosfery świata kreującego pozory i ulegającego pozorom. Przerysowuje obraz dla tym pełniejszego pokazania łatwości z jaką przyjmujemy fałszywe wartości, zaciągamy się powszechną — sprawdzalną społecznie — miarkę reżery.

Jest to sztuka o zgubnym wpływie mitów, namiętny, zastępy w groteskę, pamflet, na społeczeństwo kreujące fałszywych bohaterów, na młodzież niezdolną do rozeznania dobra i zła i dlatego gloryfikująca zbrodniarzy. Stanowczo za mało zajmowano się tym przedstawieniem, zarówno od strony jego bardzo interesujących propozycji formalnych, jak i treści ideowych. Najrozsądniej napisała o nim Tekla Brzezicka w 40 numerze „Kierunków”. Była to sztuka o nieomal całkowitej harmonii treści i formy, wyabstrahowana z gleby obyczajowej, wyprowadzona daleko poza drobne realia irlandzkiej wsi końca XIX wieku, podniesiona natomiast do rangi zasady, wzoru problemowego, teatralnej abstrakcji, pozbawionej konkretności i dlatego obejmującej wszystko, powszechnej w swojej analizie i w swoim oskarżeniu. Tylko groteska zrywająca z pedantyczną opisowością i drobnym realizmem szczegółu mogła dać sztuce ten format. Tylko bardzo śmiało uogólnienie mogło zapewnić jej taką pojemność. Uogólnienie gestu, uogólnienie treści, uogólnienie formy przedstawienia. Dochodzimy tutaj do jednego z najbardziej charakterystycznych cech teatru Skuszanki, przejawiającej się w każdej inscenizacji: do inspiracji plastyka.

PLASTYK I AKTOR

Teatr Skuszanki kształtuje się i rozwija w najściślejzym przymierzach z wizją plastyka. Najcenniejsze osiągnięcia tej sceny zawdzięczają swoją ostrość harmonii z jaką zespoliły się w dziele plastycznym i reżyserskiej koncepcji przedstawienia. Bez bardzo oryginalnej, świetnej plastycznie dekoracji Szajny nie byłoby *Księżniczki Turandot*, *Bohatera naszych czasów*, czy *Jacobowskiego*. Bez barwnej kompozycji ekranów, zabawnej linii kostiumów i lagrowej aluzji Kantora nie byłoby *Miarki za miarkę*, bez rozmachu i świeżości plastyki scenicznego Janowskiej i Tołsty i ich udanych kostiumów (Truffaldino!) nie oglądalibyśmy w tej formie uroczej groteski *Slugi dwóch panów*. Wśród tych niewątpliwych wpływów różnych plastyków sceny, określających ostateczny kształt spektakli, wkład Szajny wydaje się jednak szczególnie istotny, nie tylko dzięki sugestywności i rozmachowi jego dekoracji, ale również z uwagi na wyraźny arbitralny, współtworzący inscenizację, charakter jego wizji. Może najłatwiej wykażać ten wpływ plastyka na teatr na przykładzie *Bohatera naszych czasów*. Szajna doprowadza groteskę do ostateczności. Deformuje sylwetkę, deformuje kostium, ustyłwnia postać. Stwarza ponadrealistyczną rzeczywistość, rządzoną przez silny skróty plastyczny, kształtowaną przez luźne, pozornie dowolnie przyjęte skojarzenia. W tak ukasztowanej rzeczywistości normalny, realistyczny gest stałby się dysonansem, tak jak dysonansem byłaby cała werystyczna interpretacja sztuki. Plastyk, porzucając drobny realizm, tworząc abstrakcyjne wnętrza dla swoich bohaterów, zdeformowanych przez kostium — zmusza do takiej deformacji również reżysera, otwiera przed sztuką zgoła nieprzewidywane perspektywy. Działanie to wypływa z świadomego założenia. Trzeba dążyć do przedstawienia nie tyle społecznej otoczki dramatu, ale do pokazania dramatu samego. Po znalezieniu jego podstawowych sprężyn, należy zapewnić im jak największą w yrazistość, jak najdalej posuniętą przejrzystość. Stąd wywodzi się forma tego przedstawienia niewiele mającego wspólnego z historycznym pierwowzorem — ale za to wyróżniająca się sugestywnością i zakresem uogólnienia. Tak powstaje oryginalna, coraz bardziej samodzielna, coraz ciekawsza scenografia Józefa Szajny.

Nie wiem natomiast jak kształtują się indywidualności aktorów tego teatru, ale faktem jest, że przez półtora roku Skuszanka stworzyła zespół, który coraz poważniej liczy się wśród innych zespołów teatralnych Krakowa, posiadających w swoim gronie naprawdę znakomitych twórców. Obok reżysera, obok plastyka, coraz dobitniej przypominają się trzeci współtwórcy tego teatru — aktor. Gdowska i Rączkowski w *Księżniczce*, Olszewska w *Balladynie* i *Miarce*. Pyrkosz w *Myszech*, Skarga w *Miarce*, Juras w *Bohaterze*, Horecki, Przybylski i Rączkowski w *Jacobowskim*, Rączkowski w *Sludze* — to role bardzo ciekawe, wręcz wybitne, stojące już w rzędzie kreacji. Stałe pokazywanie nowych talentów, zmuszanie ludzi do najwyższego wysiłku artystycznego wydaje się szczególnie sympatyczną właściwością Teatru Ludowego. Okazuje się, że dobry teatr stwarza niejako dobrego ak-

tora. Pomaga mu w ukasztowaniu postaci. Zmusza do najwłaściwszego wyboru.

DZIS I JUTRO TEATRU

Teatr Skuszanki jest dzisiaj najlepszym teatrem Krakowa. W ciągu półtora roku zdystansował on pozostałe sceny miasta, tworząc wartości wpływające już w pewnym stopniu na profil polskiego teatru. Obok Dejmka jest to chyba najpoważniejszy zespół spośród tych, które nie tylko zaczęły mówić o współczesności sztuki, ale które również zaorają się do jej tworzenia. Skuszanka — rzecz nieomal bezprecedensu — na osiem dotychczasowych premier nie miała ani jednej poważniejszej pomyłki, ani jednej kłapy. Trafiły się spektakle — szczególnie trudne, bardzo wyrównane, omińiane przez publiczność, jak np. *Bohater naszych czasów*, ale nie widzieliśmy w tym teatrze niczego, co nie byłoby żywą treścią sztuki. Wytrwałość zaczyna powoli owocować. Teatr zajmuje coraz poważniejsze miejsce w dyskusjach i opiniach o sytuacji i przyszłości polskiego teatru; nie ma już mowy o bezcelnych — jak je nazwał Treugutt — poradach czym ma być i co ma grać scena Nowej Huty. Trafią się wprawdzie i dziś ludzie szczególnie cierpiący z powodu sukcesów Teatru Ludowego, ale to należy raczej do psychologii nie mechaniki sukcesu. Spotyka się również zjawisko niezrozumienia tego teatru przez znakomitych, pełnych najlepszej woli twórców teatru starszego pokolenia, wypływające z odrębności założeń artystycznych — ale na to nie ma już, niestety, rady, pokolenia bowiem przynocną i odchodzą z własnym dorobkiem, z własnymi odkryciami i propozycjami artystycznymi, które muszą się zmieniać, muszą ewoluować, jeśli dokonają się na rzeczywisty rozwój teatru. Osobiście jestem sukcesami Skuszanki nieco zaniepokojony. Piszę to tym śmieiej, ponieważ nazwany uprzednie przez jednego z kolegów „dworskim” sprawozdawcą tego teatru nie będę posądzony o zazdrość, czy zia wolę. Jestem zaniepokojony tempem sukcesu. Teatrowi coraz bardziej staje się potrzebna konfrontacja z innymi europejskimi scenami, z inną widownią. Jest to nieomal warunkiem jego dalszego rozwoju. Dlatego dobrze się stało, że Teatr Ludowy weźmie udział w Festiwalu Weneckim, że, że będzie to jego jedyna szansa zagrania w tym sezonie poza granicami kraju. Niezależnie jednak od przewidywanych sukcesów za granicą pojawić się może w Teatrze pewne — naturalne zresztą — przesilenie. Nawet na najlepiej zorganizowanym froncie są okresy postoju i okresy katastrofy. Osiensywa wymaga przygotowania i mobilizacji sił.

Oczywiście nie namawiam Skuszanki, czy Krassowskiego do świadomego obniżania lotu, ale wydaje mi się, iż nadszedł czas zastanowienia się nad przyszłością. W zakresie środków formalnych Skuszanka i Krassowski wypracowali sobie pełną samodzielność i kształtują własne, nie pokrywające się, ale bliskie sobie style inscenizacji. Równocześnie typ ich teatru ulega wyraźnemu zróżnicowaniu. Tworzą się w nim trzy odrębne, uzupełniające się w płaszczyźnie formalnej, ale tematycznie niezależne nurty: a) nurt teatru politycznego, teatru wielkich aluzji współczesnych, wpisanych w dramaty o dużym napięciu racji moralnych i surowej, monumentalizowanej formie (*Balladyna*, *Miarka za miarkę*), b) nurt teatru obyczajowo-politycznego (*Myszy i ludzie*), *Jacobowski i pułkownik*, *Bohater naszych czasów*) oraz c) nurt wyraźnie rozrywkowy, realizujący ideał teatru jako zabawy przetwarzającej się przez scenę i fascynującej widza oryginalnością i pięknem formy (*Księżniczka Turandot*, *Sluga dwóch panów*).

Nurty te należy skrupulatnie kontynuować. Rozwój Teatru Ludowego winien iść teraz w kierunku doskonalenia tych typów inscenizacji, które wykształciły się w ciągu dotychczasowej pracy. Należy jednak różnicować środki wypowiedzi, dążyć do jeszcze większej jednoznaczności tezy. Dotychczasowym językiem politycznego teatru Skuszanki była aluzja. Aluzja, niezwykle sugestywna jeszcze pół roku temu, traci obecnie siłę wyrazu. Nazbyt często nadużywana — powszednie, niezależnie już nawet od ogólnego zdystansowania jej przez publicystykę. Należałoby pomyśleć o repertuarze umiarkowanym, o roli pośrednictwa parabol.

Przed zespołem Teatru Ludowego stoi dziś nowy problem: problem już nie zdobycia, ale zachowania sukcesu. Znaczenie trudniejsza, mniej efektywny problem utrzymania linii i klasy teatru.

JAN PAWEŁ GAWLIK

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

2)

IMPRESJONIZM

— Nazwa „impresjonizm” była — ironicznym przewzikiem stworzonym przez krytyków dla określenia twórczości grupy francuskich malarzy, którzy w 1874 r. zorganizowali u fotografa Nadara swoją pierwszą wystawę zbiorową. Pomysł tej nazwy podał tytuł obrazu Moneta: „Impresja, wschodzące słońce”.

W ośmiu kolejnych wystawach grupy (pierwsza w 1874 r., ostatnia w 1886 r.) brali udział malarze o bardzo nieraz różnorodnym obliczu artystycznym, co w znacznej mierze wpłynęło na skomplikowanie definicji impresjonizmu, który przez krytyków bywa dość rozmaicie określany.

W potocznym znaczeniu przez impresjonizm rozumie się specjalną technikę oddawania efektów światła rozproszonego w atmosferze. Tak po raz pierwszy określił impresjonizm pisarz i krytyk Duranty w swojej broszurze „Nowe malarstwo” (1876) i tak na ogół rozumieł impresjonizm współcześni. W tym wypadku chodzi o tzw. czysty impresjonizm reprezentowany przede wszystkim przez twórczość Moneta, a także Pissarra i Sisleya oraz w pewnej mierze Renoira. Wspomniana definicja zawężyła pojęcie impresjonizmu do tych cech, które określały czysto piktoralne nowatorstwo tego kierunku, ale historycznie jest ona o tyle uzasadniona, że całe malarstwo awangardowe z końca XIX i początku XX w., chociaż wykorzystywało zdobycze impresjonistów, było jednak równocześnie reakcją właśnie na czysty impresjonizm, uprawiany najbardziej konsekwentnie przez Moneta. I dlatego w dalszym ciągu będzie mowa jedynie o tak pojętym impresjonizmie.

W swoim początkowym stadium impresjonizm był pod wieloma względami kontynuacją malarstwa pejzażystów i realistów francuskich z połowy XIX w. Celem impresjonistów było odtworzenie rzeczywistości; podobnie jak Courbet odrzucali wszelką fantazję czy wymagowaną tematykę (np. historyczną). Pragnęli malować jedynie to, co mogli bezpośrednio zaobserwować ale w sposób zgodny z tym, co współcześnie jest w stanie zaobserwować oko. I w tym głównie zaznaczyła się odmiennność ich postawy w stosunku do realistów. Podkreślając momentalność obserwowanych zjawisk, impresjoniści wprowadzili do malarstwa niejako czwarty z kolei wymiar — czas. Pragnęli uchwycić to, co zmienne, chwilowe, niestałe, podczas gdy malarze szkoły realistycznej ukazywali świat w kształtach stałych, skończonych i niezmiennych.

Pleneryści z połowy XIX w. osłabli jedynie wyrazistość konturów, impresjoniści całkowicie zagubili ją w świetle i kolorze; pleneryści w pełni respektowali światłocien, impresjoniści rozkładając cień na kolory i przekształcając kontrasty światłocieniowe na kontrasty barwne, prawie całkowicie zatracili modelunek przedmiotów. Pejzaż impresjonistyczny jest równie jasny i równie ubogi w szczegóły na wszystkich planach obrazu. Złożony jest w całości z jednakowych drobnych plamek barwnych. Nie ma więc u impresjonistów perspektywy powietrznej. Nie oznacza to jednak, że impresjoniści rezygnowali z przedstawiania przestrzenności w obrazie. Powracają oni do zasady perspektywy linearnej, zaznaczonej ogólnie kierunkami dróg, rzek, brzegów biegnących w głąb obrazu.

Próby impresjonistów przebiegały równolegle do badań uczonych nad procesem widzenia barw. Prace te zapoczątkowali w I poł. XIX w. Young i Chevreul a potem kontynuowali je Rood i Helmholtz. Wyniki ich badań w pełni i świadomie wykorzystują dopiero pointyliści (neoimpresjoniści), gdyż impresjoniści technikę swoją opracowali w pierwszym rzędzie na drodze empirycznej, w wyniku bezpośrednich obserwacji, w szczególności zaś refleksów świet-

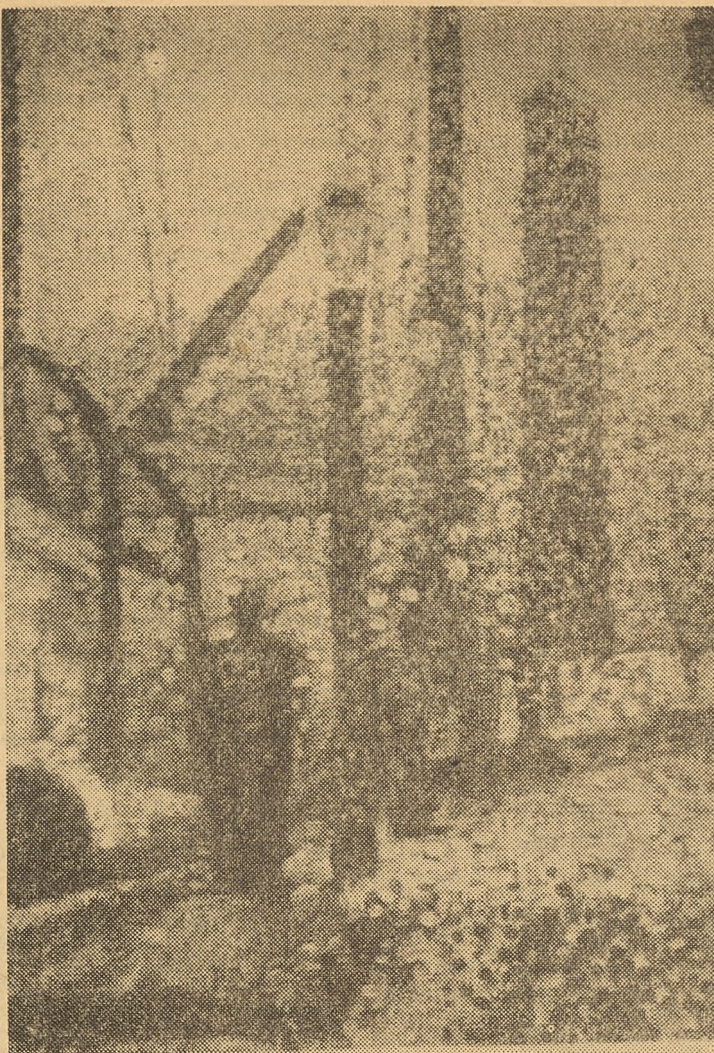
nych na wodzie („Plaža w Saint-Adresse” Moneta z 1867 r., a przede wszystkim przystań „La Grenouillère” malowana w kilku wersjach przez Moneta i Renoira w r. 1869; artyści zastosowali tutaj po raz pierwszy nową technikę). Widząc przedmioty poprzez światło pojęte jako kolor, używali wyłącznie barw widma słonecznego już to zmieszanych na palecie już to czystych. Pragnąc uzyskać silniejsze efekty kolorystyczne impresjoniści zestawiali barwy zasadnicze z barwami dopełniającymi by w ten sposób wzmocnić optycznie ich intensywność. Stąd tak częste w obrazach impresjonistów czerwone maki na zielonych łakach, fioletowe cienie na żółtych murach, pomarańczowe refleksy słońca na niebieskiej wodzie. W parze z tym szła zmiana techniki kładzenia farby. Ponieważ drobne plamy barwne o wiele łatwiej zespalały się w oku, impresjoniści zaczęli stosować krótkie pociągnięcia pędzlem i w ten sposób powstała tak dla impresjonizmu charakterystyczna maniera „przecinków”. Kierunek i forma plam barwnych zgodne były tylko w ogólnych zarysach z kształtem przedmiotów, których kontury wskutek tego zacierały się, stawały się płynne i sprawiały wrażenie, że roztapiają się w atmosferze.

O ile w początkowym okresie impresjoniści stosowali jeszcze światłocien a intensywność światła wydobywali przez kontrastowanie jasnych i ciemnych płaszczyzn, to około 1870 r. bezbarwne światło znika z ich obrazów i przekształca się w czysty kolor.

W obrazach impresjonistów nie ma jednego, ściśle określonego źródła światła; krąży ono w postaci refleksów, które oddziaływując wzajemnie na siebie wytwarzają zgodnie z prawami fizyki gamę barw dopełniających, tzn. dających przy równoczesnym działaniu na oko równie barwy białe (czerwona i zielona, niebieska i pomarańczowa, żółta i fioletowa).

Impresjonizm zerwał całkowicie z zasadą kolorów lokalnych — jedną z podstawowych jego cech był bowiem relatywizm kolorystyczny: stwierdzenie, że barwa przedmiotów jaką spostrzegamy jest wypadkową ich barwy rzeczywistej, barw otaczających i natężenia światła, a więc nie jest czymś stałym lecz ulega niustannym zmianom zależnie od stanu atmosfery i kąta padania promieni słonecznych. Podobnie cień nie polega na braku światła, lecz na różnicy w nasyceniu światłem; jest więc barwny i malarz musi go przedstawić przy pomocy barw widma słonecznego a nie brązów i czerni, gdyż w naturze nie ma cieni całkowicie czarnych czy też brunatnych.

Pierwotnym założeniem impresjonistów była ścisła obserwacja natury, obiektywne i beznamiętne ukazywanie tego co dostrzegło oko; stopniowo jednak coraz silniej w ich obrazach dochodził do głosu subiektywny liryzm. Poczynając od połowy lat siedemdziesiątych impresjoniści coraz częściej zaczynają odtwarzać nie świat zewnętrzny, lecz własne doznania, własne wrażenia, snute na jego kanwie. Pierwotny temat, przedmiot, staje się pretekstem do czysto malarskich eksperymentów a obraz samodzielnym studium kolorystycznym. W centrum zainteresowania malarza pojawiają się problemy czysto plastyczne, barwy i kształty przestają odpowiadać rzeczywistości, dobór kolorów dokonywany jest wyłącznie pod kątem realizacji określonego ideału piękna. Malarstwo staje się celem samym w sobie, odrywa się od natury i tematu, tworzy swoje własne wizje kolorystyczne, zatrzymując się, jak w przypadku Moneta,



Neoimpresjonizm G. Seurat FRAGMENT OBRAZU

u progu abstrakcji. Ozenfant napisze wręcz, że impresjoniści nie byli realistami czy naturalistami odtwarzającymi rzeczywistość, ale że dążyli do zupełnie abstrakcyjnych rozważań i emocji kolorystycznych, do tworzenia pewnych układów barwnych, abstrahujących od natury, która miała stanowić jedynie „pretekst do iryzacji chromatycznych”.

NEOIMPRESJONIZM

Grupa neoimpresjonistów powstała w 1884 r. po wystawie w Salonie Niezależnych skupiając się w „Stowarzyszeniu Artystów Niezależnych” założonym w czerwcu tegoż roku przez Seurata, Signaca, Cossa, Dubois-Pilleta i Angranda. Wkrótce przyłączyli się do nich m. in. Camille Pissarro i jego syn Lucien. Przez pewien czas uprawiali neoimpresjonizm Gauguin (1886), van Gogh (1886—87) i Toulouse-Lautrec (1887). Felix Fénéon, w broszurze „Impresjoniści w 1886 r.”, jako pierwszy z krytyków, podkreślił rolę nowego kierunku. Najpełniej teoretyczne założenia szkoły wyłożył Signac w rozprawie „Od Delacroix do neoimpresjonizmu” (1899).

Nowy kierunek był pod wieloma względami kontynuacją impresjonizmu, równocześnie jednak stanowił jego zaprzeczenie. Artyści skupieni koło Seurata i Signaca zarzucali impresjonistom, że nie wyciągnęli wszystkich konsekwencji z empirycznie dostrzeżonych praw optycznych i chociaż używali wyłącznie barw widma często mieszały je na palecie, przez co otrzymywali kolory zgaszone; że dematerializowali i odrealniali przedmioty doprowadzając do rozbicia formy; że lekceważyli kompozycję obrazów, którym brako-

wało organicznej jedności formalnej; że kierowali się wyłącznie instynktem i nie próbowali usystematyzować swoich zdobyczy i wyciągnąć z nich wszystkich konsekwencji.

Indukcyjnej, empirycznej i intuicyjnej metodzie impresjonistów przeciwstawiają neoimpresjoniści metodę dedukcyjną, racjonalistyczną, naukową. Stąd normatywizm ich estetyki, przekonanie, że wystarczy poznać zasady kolorystyki i kompozycji by stworzyć arcydzieło. Opracowują więc szczegółowe reguły: przygotowanie płótna, wielkość plam barwnych, zestawienie barw, kolor ram, sposób osiągania pożądanego nastroju, wszystko to zostaje ściśle skodyfikowane.

W oparciu o badania uczonych (Chevreul, D. Sutter, Ch. Blanc, N. O. Rood) neoimpresjoniści dążą do oddania w sposób możliwie najwierniejszy jaskrawości światła i do nadania kolorom maksymalnej intensywności. „Malarz — pisze Signac — który jest naprawdę kolorystą, to znaczy malarz, który tak jak neoimpresjoniści podporządkowuje kolor zasadom harmonii, nie musi się obawiać, że wyda się krzykliwy jeśli będzie zbyt barwny... Jeżeli zna prawa harmonii niech nie obawia się przekroczenia miary”.

Neoimpresjoniści ściśle przestrzegają zasady DYWIZJONIZMU, „używają jedynie czystych kolorów, zbliżonych do barw widma w tej mierze w jakiej materia może się zbliżyć do światła” (Signac). Odrzucają możliwość mieszania farb na palecie z wyjątkiem kolorów sąsiadujących ze sobą w kole barw. „Zastąpić mieszanie farb przez optyczne mieszanie się barw. Mówiąc inaczej przez rozłożenie barw na ich elementy składowe, gdyż optyczne zmieszanie się

barw wywołuje o wiele intensywniejsze wrażenie niż mieszanie farb” (Pissarro) — oto istota dywizjonizmu.

Neoimpresjoniści ucieleśniają w praktyce malarskiej założenia dywizjonizmu wprowadzając nową technikę, nazwaną POINTYLIZMEM, a polegającą na nanoszeniu farby w punktach (fr. point), proporcjonalnych do rozmiaru płótna. Dzięki temu barwy łatwiej mogą się mieszać w oku widza dając barwy wypadkowe. Neoimpresjoniści zastrzegali się jednak, że nie należy identyfikować dywizjonizmu z pointylizmem, dywizjonizm bowiem jest zasadą estetyczną, pointylizm techniką, środkiem dla zrealizowania założeń estetycznych.

Według neoimpresjonistów obraz musi być organiczną jednością, zamkniętym systemem. syntezą barw i form. „Zdaje się, że pierwszą troską malarza gdy stanie przed białym płótnem powinno być: zdecydować jakie krzywe i jakie arabeski ma podzielić jego powierzchnię, jakie barwy i tonacje mają je pokryć” (Signac). Należy więc dążyć do pełnej harmonii barw, kształtów i linii, do rytmicznego ich układu. Harmonię kompozycji pragną neoimpresjoniści osiągnąć w oparciu o stosunki liczbowe (złoty podział), przez kombinację form geometrycznych (kwadraty, trójkąty, prostokąty), rytmy pionowych i poziomych linii, koncentryczne układy krzywych i arabesek, przy czym szczególną wagę przywiązują do kontrastów barw, kierunków i linii.

Pod niewątpliwym wpływem Ingresa powracają do rysunku i modelunku, pragną też ukazać przestrzenność w obrazie ale w sposób nie sugerujący jego „przebicia”, tzn. nie dający naturalistycznego złudzenia głębi. Dzięki odpowiedniemu diagonalnym układom prostych oraz rytmicznej linii falistych odgraniczających strefy światła, uzyskują swoistą płaską perspektywę. Równocześnie technika pointylistyczna pozwala im na odpowiedni modelunek przedmiotów, rozkład światła i cieni, czego nie było w impresjonizmie. Dla neoimpresjonistów celem malarstwa nie było światło samo w sobie, lecz stosunek między światłem a przedmiotem. Dzięki temu przedmiot zachowuje swoją materialność, swoje kształty i kontury.

W zasadzie, podobnie jak impresjoniści, odrzucali wszelką „literaczkę” w malarstwie. Wzruszenie jakie daje obraz winny ich zdaniem być wywoływane jedynie środkami plastycznymi, symboliką linii i barw. „Wesołość tonu to dominanta jasna; barwy — dominanta ciepła; linii — kierunki wznoszące się ponad kierunek poziomy. Spokój tonu to równowaga tonów jasnych i ciemnych; ciepłych i zimnych jeśli idzie o barwę; pozioma jeśli idzie o linię. Smutek tonu to dominanta ciemna; barwy — dominanta zimna — a linii — kierunki opadające” (Seurat).

Neoimpresjonizm wprowadza do malarstwa pierwiastek racjonalizmu i obiektywizmu, dąży do wyrażenia koncepcji intelektualnych lub subiektywnych emocji środkami czysto plastycznymi. Obraz staje się autonomiczną, samoistną rzeczywistością, nie imituje świata zewnętrznego, co nawiązuje szuka jego odpowiedników, sugeruje go. Barwy traktowane są jako wartość sama w sobie a przedmioty zostają sprowadzone do podstawowych form geometrycznych. Znajdujemy tutaj zapowiedź wielkich eksperymentów jakich podejmują się nowatorskie malarstwo XX w. przeciwstawiając się dotychczasowej tradycji w sztuce europejskiej.



Impresjonizm

C. Monet
FRAGMENT
OBRAZU

Kraków, dnia 25. IV. 1957 r.

Do

ob. ob.

Dziekanów Wydziałów
Kierowników Katedr
(Teoretycznych Klinicznych)
Kierowników Studiów
Kierownika Biblioteki AM

w Krakowie

Mimo obowiązującego dotychczas zarządzenia Rektora AM z dnia 10 listopada 1945 L. SSz—2147/29/54/55 w sprawie zaniechania przez Kierowników Katedr bezpośredniego udzielania wszelkich wywiadów prasowych i innych informacji, dotyczących organizacji i działalności kierowanej przez nich komórki, stwierdzam w tym względzie pewne uchybienia ze strony Katedr Klinicznych.

Wobec powyższego stanu rzeczy przypominam obowiązek ścisłego przestrzegania wspomnianego zarządzenia, a w razie potrzeby udzielania wywiadu, czy też zamieszczenia w prasie lub ogłoszenia przez Radio odnośnej informacji proszę o uprzednie uzgodnienie ze mną załatwienia takiej sprawy.

Rektor

W/GZ

(Prof. dr L. Tochowiec)

Szanowny Rektorze!

Sądzę, że nas to zarządzenie nie dotyczy?

z poważaniem

Agent obcego wywiadu

Z ostatniej chwili

Jak się dowiadujemy Andrzej Stopka jedzie jednak wraz z zespołem Teatru im. Słowackiego do Bratysławy, ale jako... statysta do „Kordiana”. Aby dobrze wypadł w tej roli, dyrektor Dąbrowski już od kilku dni poucza go, jak ma wnosić beczkę na scenę.

Propozycje zapytania wątpliwości

Dodatkowe 3000 miejsc dziennie

Kolejki przed kinami... Koniki nakładają haracz na bilety... Władze miejskie rozkładają beczadła reżerwy... A tymczasem... „Istnieje w Krakowie sala na 1000 miejsc, „Świt”, w której dwa, trzy razy w tygodniu odbywają się mniej lub bardziej słabe koncerty. Resztę tygodnia ta ogromna sala stoi pustką. Gdyby w pozostałe pięć dni uruchomić tu kino, to otrzymamy w Krakowie 3.000 miejsc dziennie czyli licząc 20 dni w miesiącu projekcji — 6.000 sprzedanych biletów miesięcznie. W skali rocznej daje to około 3.000.000 złotych. Suma ta mogłaby świetnie opłacić koszt utrzymania Filharmonii i pomóc podnieść poziom artystyczny tej mało obecnie popularnej orkiestry (często sala mocno pusta). Jakże rozsądne przeszkody pozabawiają Kraków jeszcze jednego reprezentacyjnego kina. Przy dobrej woli sala pozwoli i na ekspozycję filmów (np. seanse o 17, 19 i 21). Przez resztę dnia sala może służyć wyłącznie Filharmonii, która dysponuje dodatkowo na próby „salą błękitną”.

Podajemy ten zdrowy projekt uwadze i proponujemy, by projektant T. G. (nazwisko znane redakcji) otrzymał bilety wolnego wstępu na okres jednego roku do kin krakowskich. To chyba także racjonalizatorstwo.

O ziewaniu ze zmęczenia,
z nudów i z innych powodów

W dłuższym liście p. Józef Kubiśiak z Nowej Huty opisuje, że interesuje się takim zjawiskiem, jak ziewanie. Ponieważ nie da się odpowiedzieć na ten temat krótko, zapowiadamy, że w 3-cim numerze „Zdarzeń” podamy artykuł i na razie prosimy o cierpliwość i nie ziewanie. Bo sami nie wiemy jeszcze, czy to zdrowo...

47 LAT TEMU

prasa pisała: „Zbliża się koniec świata. Kometa machnie ogonem i po nas”. W stolicach zapanowała panika na wiadomość o zbliżeniu się komety Halley’a. Uczeń obliczył wówczas, że ogon tego ciała niebieskiego nieuchronnie zetknie się z ziemią. Niektórzy paryżanie obchodzili więc w maju święta Bożego Narodzenia — najmiłsze święta rodzinne. Panna stawała się coraz większa. Akcje na giełdzie spadały. Ludzie popełniali samobójstwa.

Obecnie po 47 latach, gościmy inną kometa. Odkryta została w jesieni ubiegłego roku przez uczonych Arenda i Rollanda. Kometa Halley’a, która tak przerażała ludzi przed prawie pół wiekiem ukazuje się oczom ziemian co 76 lat. Była obserwowana jeszcze podczas upadku Jeruzolimy, potem widziano ją szereg razy. W bieżącym stuleciu pojawia się dwukrotnie — 1910 oraz w 1986. Natomiast kometa, którą obecnie można obserwować, nie ukaże się już nigdy naszym oczom, ani oczom naszych wnuków czy prawnuków. Zniknie w nieskończonych przestrzeniach wszechświata na zawsze.

Marian Promiński uroczym maruje czas na opisywanie dzieł literatury amerykańskiej, zamiast pisać nową powieść. No cóż, wyręcza wydawnictwa, które przez spory czas milczały. Teraz Promiński zbiera złoto (a raczej złote) z tego milczenia. Ale milczenie wreszcie przerywane, coraz więcej na półkach księgarskich Caldwellów, Steinbecków, Saroyanów. Wkrótce wejdą na ekrany filmy prosto z Hollywood. Widziałem tylko jeden — Marty. I nasunął mi takie same refleksje jak lektura felietonów Promińskiego i dzieł autorów amerykańskich. Czym właściwie różni się literatura amerykańska (współczesna) od europejskiej? Pisarze starej Europy — zwłaszcza Francuzi — lubią zachowywać dystans w stosunku do ludzi oraz i faktów, które podają. W każdym razie zawsze starają się być bogami swych bohaterów. Są mądrzejsi od swoich dzieł, traktując więc wszystkich i wszystko z mniej lub więcej lekceważącym przymrużeniem oka. Oczywiście uogólniam i oczywiście nie jest to bynajmniej jedyną cechą pisarstwa naszej epoki. Fakt — że ostatnio pisarze całej Europy garściami czerpią z literatury amerykańskiej, jak Amerykanie do niedawna czerpali z XIX-wiecznego skarba literackiej Europy. Cóż, trzeba uogólniać — bez uogólnień i szufladkowania nie ma wiedzy. Teraz więc z kolei przeszkoleni Amerykanie. — Ani Hemingway, ani Steinbeck, ani tym bardziej Caldwell nie mają boskich aspiracji. Może dlatego proza im tak świetnie wychodzi i taką zdobyła sobie poczytność na całym świecie. Autor nie musi być wszechmądrym i wszechwiedzącym. Amerykanie łapia pod pióro najblaszsze nawet szczegóły życia. Ich książki to reportaże: fakty i rozmówki, schwycone „na gorąco”. Metoda pisarska — behawioryzm: człowiek poznaje człowieka w życiu codziennym dzięki kontaktom polegającym na obserwacji zachowania się, gestu, mimiki i na dialogu. Rozmawiamy ze sobą, wpatrujemy się w miny bliskich i dalekich, śledzimy ruchy, gesty, czyny. Nie ma innych metod poznawczych. Pisarz amerykański wiernie przenosi na papier rezultaty swoich obserwacji i nie stara się interpretować stosunków między przedstawianymi bohaterami. Są tacy a nie inni. Dlaczego tak jest i do czego to

Marian Promiński uroczym traci czas Amerykanie nie chcą być bogami Marty — film o brzydalach Hłasko — liryk

prowadzi — dopowie sobie czytelnik. Pisarze amerykańscy nie usiłują być twórcami żadnych systemów filozoficznych. Pokazują kartki życia i nie specjalnie dobrane, lecz przypadkowo wyrwane z kontekstu. Jeżeli wyniknie z tego dla czytelnika jakaś filozofia tym lepiej (lub gorzej). Jeżeli nie... nie szkodzi. Samo obserwowanie międzyludzkich stosunków jest zabawne. Na czymż innym polega prawdziwe życie? Przecież to ciągłe dialogi ze znajomymi czy bliskimi, nieustanne obserwowanie bliskich i dalekich. Mówienie o ich zachowaniu, twarzach, ciętach, przymiotach czy wadach charakteru. Wnioski wyciągane z obserwacji — to właściwie zabawa. Nie chcą jej nam skąpić pisarze amerykańscy. Tej zabawy nie skąpi nam film Marty. Nie znam filmów amerykańskich ostatniego dziesięciolecia. Tłumaczono nam nieustannie że w Hollywood panuje szmira. Czy „Marty” należy do jaskółek hollywoodzkiego przełomu, który podobno dokonał się kilka lat temu? Nie wiem. W każdym razie jest w nim wiele z metod Steinbecka, i Saroyana. Banalna historia romansu pary brzydalaj staje się przedmiotem wnikliwego reportażu filmowego. W ciągu półtorej godziny projekcji poznajemy doskonale wszystkich bohaterów — tych z pierwszego drugiego i trzeciego planu. A przecież niektórzy pojawiają się na ekranie w epizodach. To zasługa metody. Film pozbawiony jest wszelkiej opisowości. Nie zawiera jakiegokolwiek autorskiego komentarza. Widać nie dzieli od rzeczy dziejących się na ekranie żaden dystans. Nie ma poetyzowania ani przenośni. Po prostu: zostaje wprowadzony w krag prawdziwego życia grupki nieznanych mu dotychczas ludzi. Film zrobiony jest z pasją: nie literacką, nie twórczą (pod tą nazwą zwykliśmy sobie wyobrażać jakichś inżynierów dusz ludzkich konstruujących rzeczywistość, rzeczywistość własną, niezgodną często z prawdziwą). Film zrobiony jest z pasją reportażysty, wiernego odwórcy, fotografa życia. Mamy więc reportaż z zakładu pracy (sklep masarski), reportaż z typowej zabawy jakże bardzo przypominającej zabawy w naszych przeciętnych lokalach rozrywkowych, reportaż z dol i niedoli pożycia małżeńskiego, nad któ-

rym ciąży tęciowa, mamy świetny pokaz gęb ludzkich w różnych sytuacjach życiowych: w pracy, w knajpie, na zabawie itd. itd. i kapitalne, kompetentne dialogi. Wreszcie na dodatek — ale to już może nie było zamiarem filmowców — obserwujemy pokaz amerykańskiego stylu życia, o którym tyle dawniej pisało się źle, a teraz pisze się mniej lub więcej dobrze. W sumie — bardzo dobry film. Bardzo pobudzający do refleksji i do porównań.

Zalecam obejrzenie tego filmu wszystkim. Szczególnie cieszyć się będą zwolennicy współczesnej literatury amerykańskiej oraz opowiadań... Hłaski (chodzi mi tu o metodę przyjętą przez naszego pisarza, a nie o łóżkowe smaczki. Tych ostatnich w „Marty” nie ma).

A propos Hłaski. Jeden z naszych genialnych reżyserów tak mówi o realizowanym obecnie filmie „Osmy dzień tygodnia”: — „Mam zamiar zrobić film nie jako sensację, lecz jako problem w sensie społecznym i jako rehabilitację młodzieży. Wydaje mi się, że sprawa tych drastycznych (mowa o łóżkowych smaczkach — przyp. red.) wynika z formy, noweli, która jest znowu zgodna z atmosferą naszych czasów. Treść natomiast wydaje mi się głęboka i poważna. Powiem panu więcej: myślę, że pod powłoką ostrych form kryje się czasami bardzo liryczna treść. Będę się starał wydobyć to w filmie. Oto koniec cytatu, zacierpnietego z rozmowy przedstawiciela wrocławskich „Nowych Sygnałów” z genialnym reżyserem. Komentarz? Znać go już na pamięć. Biedny Hłasko, będąc z niego wyprowadzony liryczne bebechy. Co zostanie z noweli? Genialny reżyser stanie się jedynym interpretatorem idei Hłaski. Zamiast żeby interpretatorami byli widzowie. Panowie, po co ta zabawa w koło młyńskie? To nikogo nie uratuje ani aktorka niemiecka grająca Polkę, ani wysoka zachodniemiecka technika filmowa. Stare recepty przeróbek wszelkich koncepcji literackich na arcydzieła społeczno-liryczne, przez różnych genialnych reżyserów, ciągle jeszcze, jak widać, obowiązują. No bo: czasy się u nas zmieniają, moi panowie, tylko ludzie pozostają na odwiecznych stanowiskach.

Adam

Najkrótsze opowiadania

ANTYSEMICY

Rok 1942. Korpus Andersa stacjonuje w Palestynie. Do Tel-Awivu wybiera się czterech oficerów, przedwojennych wojskowych, pochodzących z jednego miasta, służących do 1939 roku w jednym pułku. W Tel-Awivie czeka na nich Mojżesz Dawidowicz, kupiec galanterijny, pochodzący z tego samego, co oni miasta. Przywitanie wielkie, wspomnienie wspólnych znajomych, pół litra wódki polskiej produkcji wyciągniętej ze łzami w oczach przez Mojżesza Dawidowicza wzmacnia angielski alkohol, nabyty w kasynie oficerskim. Czterej oficerowie bardzo często ojcu Mojżesza Dawidowicza wybijały szyby w sklepie. Siedząc z Dawidowiczem w Tel-Awivie przy jednym stole wspominają z rozrewnieniem swój antysemityzm. Rozmowa schodzi na inne tematy. Dawidowicz mówi, że ma konkurenta w osobie arabskiego kupca Abdula, który dwa lata temu założył po przeciwnej stronie ulicy duży interes galanterijny. Jeden z oficerów, podochocony alkoholem wstał wtedy i krzyknął:

— Panowie, zbijemy mordę temu Abdulowi i rozwalimy mu sklep. Co on będzie naszemu Mojszowi robił konkurencję, do diabła!

MOWA — TRAWA

W restauracji siedzi dwóch przyjaciół. Jeden z nich tłumaczy drugiemu, jak bardzo ma ciężkie życie, jak mu ciężko jest zarobić na utrzymanie rodziny, jak go zdradziła żona, jak go chcą wyrzucić z pracy. Po kilkunastu minutach tego narzekania słuchający go przyjaciel, człowiek wyrzucony z pracy, trzymany w więzieniu bezprawnie osiem lat, bity i poniewierany w dosłownym tych wyrazów znaczeniu, odpowiada:

— Że też ja zawsze muszę w swoim życiu spotykać ludzi nieszczęśliwych...

W MUZEUM LENINA

Siedzę przed dyrektorem Muzeum Lenina. Muzeum jest śmiesznie ubogie: żadnego autentycznego dokumentu, same fotokopie. Mówię do dyrektora muzeum:

— Towarzyszu, przecież Lenin mieszkał w Krakowie. Można chyba znaleźć jakieś sprzęty z jego mieszkania, można chyba pokazać jakieś autentyczne zapiski poczynione przez Lenina w Krakowie, można pokazać prawdziwego Lenina.

— Nie — otrzymuję odpowiedź — autentyczność takich przedmiotów muszą zatwierdzić ludzie z KC.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

ELISABETH TAYLOR



GINA LOLLOBRIGIDA



ROSANNA PODESTA



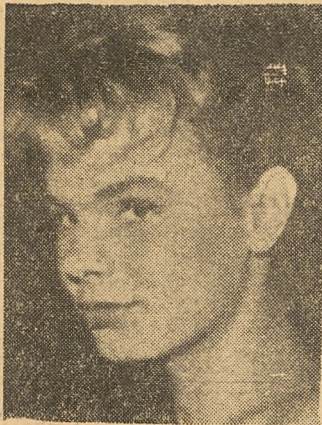
AUDREY HEPBURN



JEAN SIMMONS



ODILE RODIN



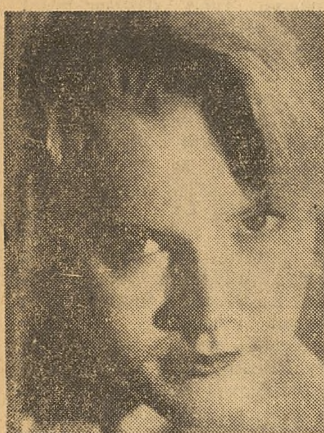
SOPHIA LOREN



MICHELINE PRESLE



CARROL BAKER



AVA GARDNER



MARILYN MONROE



INGRID BERGMAN



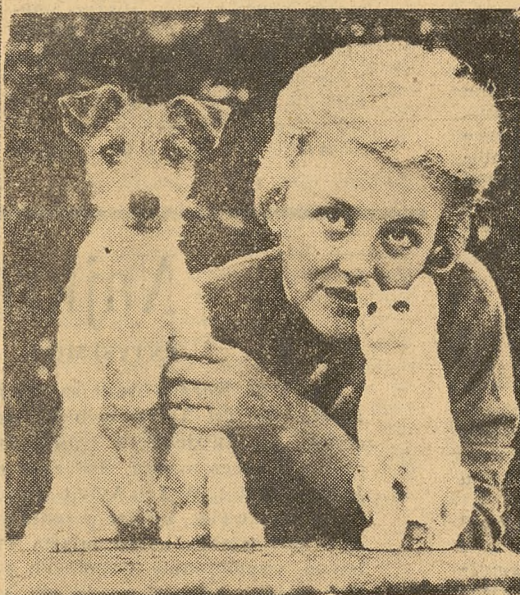
BRIGITTE BARDOT



DANY CARREL



NICOLE COURCEL



PLEBISCYT FILMOWY Z NAGRODAMI

„Zdarzenia” — ilustrowany magazyn tygodniowy. Redaguje zespół. Wydanie niedzielne „Gazety Krakowskiej”. Wydawca: Krakowskie Wydawnictwo Prasowe. Druk: Krakowska Drukarnia Prasowa.

Numer zamknięto 15 maja

„ZDARZENIA”
Nasz adres: Kraków, Wielopole 1, III p.
Tel. 203-67.

ZAMIESZCZAMY ZDJĘCIA NAJSŁAWNIEJSZYCH AKTOREK FILMOWYCH ŚWIATA. CZYTELNICY WYBIORĄ WIĘKSZOŚCIĄ GŁOSÓW TĘ, KTÓRA IM SIĘ NAJBARDZIEJ PODOBA. ZWYCIĘŻY AKTORKA, KTÓRA OTRZYMA NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ GŁOSÓW.

POMIĘDZY CZYTELNIKÓW TYPUJĄCYCH ZWYCIĘZCZYNIE ZOSTANĄ ROZDZIELONE CENNE NAGRODY. LISTA NAGRÓD WRAZ Z KUPONEM KONKURSOWYM W NASZYM NUMERZE.



Skarby dirhemów czyli rzecz nie tylko dla numizmatyków

Zatrzymując się ostatnio przed wystawami oficyn księgarskich, zauważyliśmy może dość poważnych rozmiarów księgę zatytułowaną zagadkowo: „Skarb dirhemów arabskich z Czechowa”?

„Skarb dirhemów”? — zapytał nie jeden z was. Cóż to takiego owe dirhemy, słowo z którym tak rzadko spotykamy się w życiu?

Wyczerpującą odpowiedź znaleźliście w rzecznej księdze, która ukazała się nakładem „Ossolineum” w cyklu wydawnictw Polskiego Towarzystwa Archeologicznego. Autorami jej są orientaliści krakowscy: Andrzej Czapkiewicz, iadeusz Lewicki, Stefan Nosek i Maria Opodza-Czapkiewicz, a tematem właśnie owe dirhemy z Czechowa, to jest znaleziony w roku 1945 pod Lublinem skarb srebrnych monet i ozdób arabskich, pochodzących z IX wieku naszej ery. Z lektury „Skarbu...” dowiedziecie się, że choć podobnych znalezisk w Europie środkowej, północnej i wschodniej można doliczyć się sporo — skarb dirhemów arabskich odkryty w Czechowie pod Lublinem należy do poważniejszych i zawiera pewną ilość eksponatów nieznanych nawet tak słynnym zbiorom monet arabskich, jakimi szczycą się Kair czy Londyn.

Opracowanie katalogu znalezionych pod Lublinem monet, ich naukowa analiza, ustalenie daty zdeponowania czechowskiego skarbu, jego historia i charakterystyka oraz dokumentacja fotograficzna wymagały kilku lat rzetelnej, zespolonej pracy. Podejmując ją w roku 1950 uczeni krakowscy po raz pierwszy w Polsce zainicjowali kierunek badań, które dotychczas były domeną uczonych zagranicznych, między innymi rosyjskich i niemieckich, a w Polsce interesowali jedynie szczupłe grono zawodowych zbieraczy starych monet. Tymczasem naukowa analiza orientalistyczna znalezisk numizmatycznych to przecież jedno z ważniejszych źródeł dla zbadania dziejów naszego kraju z okresu, o którym milczą źródła literackie. Stąd rozważania krakowskich uczonych nad „Skarbem dirhemów arabskich z Czechowa” stanowią interesujący nie tylko fachowców przyczynek do podjętych w roku 1949 z inicjatywy historyków, archeologów i orientalistów badań nad początkami państwa polskiego i rozpoczynając cykl publikacji z zakresu wschodnich źródeł literackich do dziejów Słowiańszczyzny.

WŁADYSŁAW BLACHUT